

Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji
im. Marka Dietricha

XLVI

*Wykłady inauguracyjne
rok akademicki 2009/2010*

Warszawa, 2010

ISBN 978-83-89871-17-3

© Copyright by Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji
im. Marka Dietricha

Warszawa 2010

Adres:

Instytut Problemów Współczesnej
Cywilizacji im. Marka Dietricha
ul. Koszykowa 80
02-008 Warszawa
tel. 022-234-70-07
fax 022-234-70-08
e-mail: instytut@ipwc.pw.edu.pl

Opracowanie redakcyjne i skład:

BETEX, ul. Irzykowskiego 2/100, 01-317 Warszawa, tel. 022-665-09-22

Druk:

Wydawnictwo SGGW
ul. Nowoursynowska 166, 02-787 Warszawa, tel. 022-593-55-21

Szanowni Czytelnicy!

Każdego roku w najpiękniejszych aulach uczelni wokół daty 1 października odbywają się inauguracje nowego roku akademickiego. Dzień ten to prawdziwe święto na każdej uczelni. Przyjęci w poczet studentów, po immatrykulacji, dostępują zaszczytu wysłuchania pierwszego w swoim życiu studenckiego wykładu – wykładu inauguracyjnego. Tradycją wszystkich uczelni jest, że wykłady te wygłaszają wybitni uczeni, politycy, przedstawiciele życia gospodarczego. Dlatego też są one zawsze niezmiernie interesujące i chętnie czytane. Najczęściej treść tych wykładów jest publikowana w czasopismach uczelnianych, dostępnych jedynie dla społeczności danej uczelni.

Mając na względzie zwiększenie dostępności treści wykładów inauguracyjnych wygłaszanych w uczelniach warszawskich, Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji im. Marka Dietricha, rozpoczynając od roku 2009, podjął inicjatywę ich publikowania książkowego. W ten sposób wszystkie ciekawe wykłady dotrą do całej, ponad trzystutysięcznej rzeszy studentów i pracowników uczelni warszawskich.

W pierwszym wydaniu udało się zgromadzić 11 wykładów inauguracyjnych, które Państwu udostępniamy. Mamy nadzieję, że w następnych latach chęć opublikowania swojego wykładu inauguracyjnego zgłoszą kolejne uczelnie warszawskie.

*Tomasz Borecki
Dyrektor Instytutu Problemów
Współczesnej Cywilizacji
im. Marka Dietricha*

Przedmowa

Z satysfakcją przyjąłem inicjatywę Instytutu Problemów Współczesnej Cywilizacji wydawania w opracowaniu zwartym (książkowym) wykładów inauguracyjnych uczelni warszawskich. W większości uczelni wykłady inauguracyjne ukazują się drukiem w wydawnictwach wewnętrznych, dostęp do których jest stosunkowo wąski i dotyczy najczęściej tylko środowiska danej uczelni. Tymczasem są to opracowania prezentowane przez wybitne postacie świata nauki, ciekawe i godne szerszego rozpowszechnienia.

Forma książkowa umożliwi zapoznanie się z większością wykładów inauguracyjnych wygłoszonych na uczelniach warszawskich, nie tylko środowisku akademickiemu, ale również wielu instytucjom i osobom spoza jego kręgu.

Inicjatywa wydania tych wykładów cieszy się dużym zainteresowaniem poszczególnych uczelni. W pierwszym roku nadesłano teksty z jedenastu akademickich uczelni warszawskich.

Włodzimierz Kurnik
Rektor Politechniki Warszawskiej
Przewodniczący Kolegium IPWC

POŻYTKI Z TEORII EWOLUCJI

Wykład inauguracyjny na Uniwersytecie Warszawskim

JERZY DZIK

Instytut Paleobiologii PAN

Magnificencjo! Wielce Szanowni Zebrani!

Minęło dwieście lat od urodzin Karola Darwina i 150 lat od publikacji jego epokowego dzieła *O pochodzeniu gatunków*. Myślę, że to właściwy czas i miejsce, by przypomnieć zdarzenia minionych stuleci i zastanowić się nad ich sensem dla rozwoju nauki. Albowiem w powszechnym przekonaniu sformułowanie idei ewolucji i racjonalne wyjaśnienie jej przyczyny, to jeden z najważniejszych w dziejach świata wzlotów ludzkiego umysłu. Niewiele koncepcji naukowych miało równie istotny wpływ na bieg historii.

Rewolucja czy stadium postępu?

Nazwisko Darwina przywykło się wymawiać jednym tchem z nazwiskiem Mikołaja Kopernika, uważając tych badaczy za sprawców największych przewrotów w historii światowej nauki. Wpływ ich dokonań na rozwój intelektualny ludzkości określa się mianami rewolucji kopernikańskiej i darwinowskiej. Można się jednak spierać, czy rzeczywiście były to rewolucje, czyli nagłe przejścia między stanami układu spowodowane brakiem mechanizmu samoregulacji. Z równą pewnością można w tym widzieć milowe kroki ewolucyjnego, kumulatywnego rozwoju wiedzy. Przejawy niepowstrzymanego pochodzenia ludzkiego rozumu i krytycyzmu.

Dzieło Mikołaja Kopernika było wszak ukoronowaniem wieków doskonalenia geometrii i astronomii, a także niepomierne rozbudzonej Odrodzeniem potrzeby odnalezienia porządku we Wszechświecie. Konsekwencje filozoficzne dowodu przedstawionego przez Kopernika były zapewne zabójcze i rewolucyjne dla obrazu świata wyprowadzonego z ówczesnych wierzeń religijnych, ale dla nauki były jedynie potężnym ogniwem jednorodnego łańcucha przemian.

Łańcucha, którego kolejnymi ogniwami były dokonania Galileo Galilei, Izaaka Newtona, Georges'a Cuviera i wielu, wielu innych skrupulatnych i sceptycznych umysłów.

Opóźnienie efektu

Karol Darwin dał nam kolejne mocarne narzędzie pojmowania świata. Wskazał mechanizm, który wyjaśniał bezpośrednie przyczyny przemian świata organizmów – zjawiska odczytanego już wcześniej z zapisu w skałach uformowanych w dawnych epokach geologicznych. Twierdził, że jeśli na dziedziczną, przypadkowo powstającą zmienność cech organizmów działa dobór ze strony środowiska, to z upływem pokoleń obraz tej zmienności będzie się zmieniał. Stosownie do ukierunkowania selekcji, tak jak to dziś widać w skutkach działań hodowców stwarzających nowe odmiany roślin i rasy zwierząt. Darwin nie potrafił wyjaśnić na gruncie fizjologii, jakim sposobem możliwe jest ściśle dziedziczenie właściwości organizmów ani wskazać przyczyny pojawiania się nowych cech zwiększających zmienność. Te rzeczywiście podstawowe ułomności jego teorii na pół wieku zepchnęły ją na margines biologii. Niemal zarzucona przez badaczy czekała na uzupełnienie, podobnie jak niepełna wiedza Mikołaja Kopernika wymagała dodatkowego empirycznego wsparcia przez jego następców, by przekonać sceptyków.

W przypadku koncepcji Darwina nawet pojawienie się ścisłych metod genetyki, z dzisiejszej perspektywy będących nieodłącznym aspektem teorii ewolucji, miało wyjaśnić wątpliwości, tylko je początkowo pogłębiło. Dopiero w połowie ubiegłego stulecia w pełni zrozumieliśmy naturę dziedziczenia i zmienności, dzięki poznaniu chemicznego podłoża zjawiska. Chwałę za to odkrycie zgarnęli James Watson i Francis Crick. Mogli tego dokonać, bo drogą zastępowania wierzeń rozumem i sceptycyzmem od półtora wieku kroczyła już chemia, wyprzedzając rozwój metod naukowych biologii. Bez chemii organicznej i rzeszy wielkich jej badaczy nie pojęlibyśmy biologii ani ewolucji. Ale i biologia ewolucyjna otwiera przed chemią perspektywy przyszłych epokowych odkryć, które mogą budzić zasadną zawiść badaczy innych dziedzin. Od chemików przecież oczekujemy dziś wiarygodnego i spójnego scenariusza powstania życia na Ziemi.

Metoda nauk historycznych

Teoria Darwina objaśnia naturę cząstkowych zdarzeń w historii ewolucyjnej świata żywego. Historii liczącej miliardy lat, której przebieg poznajemy, wykorzystując dorobek metodologiczny i faktograficzny geologii. Wiemy, że przebieg ewolucji organizmów jest niepowtarzalny. Tak jak niepowtarzalny

w dłuższej skali czasu jest rozwój ludzkiej kultury. Zarówno wiedza o przebiegu ewolucji organizmów (czyli filogenezie), jak wiedza o przebiegu ewolucji społecznej (czyli historii ludzkości) należą przez to wspólnie do bardzo swoistej dziedziny nauk historycznych. Nieprzewidywalność tak rozlegle rozumianych procesów historycznych wynika w poważnej części z działania mechanizmu darwinowskiego, ale biologowie do zrozumienia istoty tej przyczyny potrzebowali pomocy fizyków. To fizyk Erwin Schrödinger ukazał nam termodynamiczną swoistość zjawiska ewolucji biologicznej. Wyjaśnił, że w wyniku wprowadzania do systemów biologicznych kolejnych porcji informacji przez dobór działający na dziedziczną zmienność, lokalnie w układach tych zmniejsza się entropia. Na gruncie termodynamiki i teorii informacji kierunek przemian świata żywego jest więc przeciwny do przemian otaczającego środowiska. Wciąż niewiele rozumiemy z tego, jak w historii geologicznej zmieniała się zawartość informacji w układach żywych, jak tę informację wyodrębnić z chaosu, a już wręcz poza naszymi dzisiejszymi oczekiwaniami pozostaje perspektywa jej ilościowego oszacowania. Potrzebujemy do pomocy fizyków i informatyków.

To nie tylko sprawa marzeń biologów. Idzie przecież o wypracowanie metodologii i fundamentu spójnych teorii dla nauk historycznych w ogóle, nie tylko w przyrodoznawstwie, ale i w humanistyce. Są przesłanki do sądenia, że darwinowski sposób rozumowania da się bezpośrednio zastosować na znacznych jej obszarach. Poszukiwania analogii między procesami społecznymi a biologicznymi trwają zresztą od dawna z różnymi skutkami. Chyba najbardziej przekonująco i bez nadgorliwości w utożsamianiu zjawisk mało podobnych udało się je wskazać Karlowi R. Popperowi. Jego *Świat 3. świadomości społecznej*, czyli poznania poza podmiotem poznającym, ma właściwości niezbędne do ewolucji przez selekcję. Cechuje go dziedziczenie idei poprzez ich kopiowanie i powielanie; ma też zdolność generowania zmienności przez nowe pomysły i modyfikacje wiedzy dotychczasowej, a przede wszystkim jest przedmiotem kierunkowej selekcji przez wolny rynek. Tak zarysowany mechanizm darwinowski bez wątplenia działa w rozwoju techniki, gdzie kumulatywność wynalazków nie wzbudza wątpliwości, podobnie jak rola selekcji w ich zwycięskim upowszechnianiu przez wypieranie rozwiązań przestarzałych. Z następstwa konstrukcji inżynierskich da się ułożyć drzewa rodowe znakomicie imitujące filogenezę organizmów.

Samo konstruowanie drzew rodowych jest zresztą dziedziną, gdzie związki biologii ewolucyjnej z humanistyką są wyjątkowo głębokie. Zasady ich tworzenia zostały bowiem wynalezione przez lingwistów do opisu ewolucji języków. Dopiero później trafiły do biologii i rozwinęły się w sformalizowane techniki rozpoznawania pokrewieństw między gatunkami. Rozwijane przez półtora

stulecia na gruncie biologii, dziś wracają do nowoczesnej lingwistyki w udoskonalonej postaci programów komputerowych.

Wątpliwe, by pochodź metody naukowej i zastosowań darwinizmu zatrzymał się na lingwistyce historycznej i historii techniki. Pojawiły się już całkiem odległe od nich pola, gdzie biologia również styka się bezpośrednio z humanistyką. Choćby neurobiologia i psychologia. W rozpaczliwym poszukiwaniu wyjaśnienia dla sposobu działania umysłu, coraz bardziej wiarygodna staje się koncepcja selekcji synaps jako sposobu zapamiętywania i formowania dróg rozumowania w mózgu. Nasuwa się przy tym analogia z przełomem, który dokonał się niedawno w immunologii dzięki użyciu rozumowania darwinowskiego do wyjaśnienia specyficzności przeciwciał. Okazało się, że to również jest skutek doboru działającego na losowo generowaną zmienność. Zmienność składu przeciwciał tworzy się w wyniku przypadkowych rekombinacji odcinków DNA odpowiedzialnych za kodowanie składu tych białek. Rekombinacja DNA jest zjawiskiem normalnym w procesach płciowych organizmów, ale w tym przypadku nieoczekiwane jest miejsce, gdzie się to dzieje: komórki układu odpornościowego dojrzałych zwierząt. Komórki te nie są przekazywane z pokolenia na pokolenie, osiągnięcia selekcji dziedziczą się więc tylko wśród namnażających się białych krwinek pojedynczego zwierzęcia. Jest to więc zaledwie analogia procesów przebiegających w komórkach płciowych, które mają związek z rzeczywistą ewolucją biologiczną. Wskazanie mechanizmu selekcji przeciwciał usunęło z biologii kłopotliwą sprzeczność między ich niebywałą różnorodnością a możliwościami zawarcia informacji o ich właściwościach w zapisie genetycznym. Jest w nim zbyt mało miejsca, by zapisać informację zarówno o bogactwie przeciwciał, jak i – tym bardziej – złożoności ludzkiego umysłu. Miejmy nadzieję, że przekonamy się w nieodległym czasie, czy darwinowskie intuicje w odniesieniu do mózgu są równie zasadne.

Wyjątkowość czy nieuchronność człowieczeństwa?

Teoria Darwina nadała ewolucji banalny sens fizyczny. Zerwała welon tajemniczości i mistycyzmu z chemicznego zjawiska życia. Czy jednak historia świata żywego stała się przez to jedynie oczywistym aspektem ogólnej ewolucji Kosmosu? Z pewnością nie. Bowiem, przy całej prostocie mechanizmu darwinowskiego, powstanie dogodnego dlań podłoża wymagało niezwykłego zbiegu okoliczności. Dowodem tego są trudności, dotąd nieprzezwyciężone, które chemicy mają ze znalezieniem alternatywy dla kwasów nukleinowych – związku łatwego do spontanicznej syntezy, ale prostszego od nich strukturalnie, który mógłby być nośnikiem dziedziczności w początkach historii życia. Póki więc nie znajdziemy mocnego argumentu zaprzeczającego tej tezie, życie

na planecie Ziemia uznać trzeba za zjawisko wyjątkowe. To, że mechanizm darwinowski ujawnia się w tak różnych dziedzinach świata nam współczesnego, bynajmniej temu nie zaprzecza. Są to bowiem dziedziny będące mniej lub bardziej oczywistą emanacją zjawiska życia. Nawet w przypadku ulotnej analogii zauważalnej w ewolucji kultury, u podstawy pozostaje nośnik przekazu, który jest produktem ewolucji biologicznej – umysł *Homo sapiens*.

Bardziej zasadne od kwestionowania wyjątkowości ewolucji jest inne pytanie: czy raz zapoczątkowana ewolucja napędzana selekcją musi w różnych liniach genealogicznych dawać podobne końcowe rezultaty? Czy rozumne istoty są nieuchronną konsekwencją tego procesu? Być może. Mechanizm darwinowski jest przecież rzeczywiście źródłem postępu i lokalnego zarzucenia generalnego dążenia Wszechświata do chaosu, czyli – jak mówią fizycy – wzrostu entropii. Sprzymierzeńcami przeciwników postępu w przyrodzie są nieprzewidywalne zaburzenia stabilności środowiska – choćby te, które doprowadziły do unicestwienia mamutów czy dinozaurów. Zapewne i nas, wcześniej czy później, spotka taki los. Rozumiejąc mechanizm ewolucji i zagrożenia dla jej działania, możemy się dowiedzieć jeszcze przed szkodą, o co trzeba dbać, by tryby tego mechanizmu się nie zatarły.

Uwarunkowania postępu

Troski wymaga każdy z trzech aspektów ewoluujących układów, które są niezbędnym warunkiem skutecznej ewolucji darwinowskiej: ścisłe dziedziczenie, generowanie zmienności i ostra selekcja. W odniesieniu do ewolucji społecznej nośnikami dziedziczności są biblioteki, bazy danych i wszelkie inne sposoby przekazywania wiedzy z pokolenia na pokolenie. Tam składowana jest zbiorowa mądrość popperowskiego *Świata 3.*, do którego odwoływać się trzeba w każdym z tych licznych przypadków, kiedy zawodzi siła osobniczego rozumu i wesprzeć się trzeba dorobkiem pokoleń. Myślę, że odnosi się to również (a może przede wszystkim) do wyborów moralnych.

Miejszem najważniejszym, gdzie esencja tej zbiorowej wiedzy przemieszcza się z mózgu do mózgu, jest uniwersytecka sala wykładowa – w której się dziś znajdujemy. Uniwersytecka swoboda przedstawiania idei nowych, rodzących się w młodych i często zapalczywych głowach, albo zwykłego poprawiania tez wcześniej wypowiedzianych, zapewnia dopływ cennych nowych elementów do wspólnej puli wiedzy, powiększając jej zmienność. By zapewnić możliwość ich doboru na podstawie rzeczywistej funkcjonalnej wartości, niezbędne jest prawo publikacji i swoboda krytyki.

Czy zatem nieograniczona wolność słowa, pełna swoboda tworzenia idei i ich przeinaczania w połączeniu ze swobodą odrzucania ogólnie przyjętych

zasad gwarantują skuteczność ewolucji społecznej? Nie całkiem. Obserwacje przemian organizmów poddawanych działaniu doboru pokazują, że skuteczność ewolucji wiąże się z istotnymi ograniczeniami. Niezbędna jest równowaga pomiędzy ścisłością dziedziczenia, częstością mutacji i intensywnością doboru. Jeśli ścisłość dziedziczenia jest zbyt mała, skutki działania selekcji nie mają szans na utrwalenie w zapisie genetycznym. Jeśli tempo mutowania jest zbyt duże, dobór nie zdąży się uporać z niekorzystnymi mutacjami i zamiast nowej funkcjonalnej informacji pojawi się chaos. Powiązania te można przedstawić w postaci modelu matematycznego i dokonał tego przed czterdziestu lat fizyk, Manfred Eigen. Moment, kiedy brak wierności dziedziczenia lub częstość mutacji osiąga granice uniemożliwiające skuteczne działanie doboru, nazywany jest katastrofą błędu Eigena.

Interesujące mogą być konsekwencje przejęcia się katastrofą błędu Eigena w odniesieniu do ewolucji społecznej. Wynika z niej, że zapewnienie stabilnego postępu w ewolucji drogą darwinowską wymaga przede wszystkim konserwatyzmu w podejściu do idei. Jeśli będziemy dbać o wierny przekaz i rozumienie idei kluczowych dla funkcjonowania społeczeństwa, wprowadzać myśli nowe i zarzucać stare tylko wtedy, kiedy są do tego istotne powody, świat idei będzie się rozwijał i doskonalił. Lekkoomyślnie luźne do nich podejście to prosta droga do katastrofy.

Miejsce teorii ewolucji

Wracając do przywołanej na początku analogii między implikacjami teorii Kopernika i Darwina, dochodzimy zatem do paradoksalnej konkluzji. O ile heliocentryczny system Kopernika był przełomem światopoglądowym, to od strony sposobów wnioskowania nie wykroczył swoimi konsekwencjami poza dziedzinę nauk ścisłych. Teoria Darwina, wyjaśniając naturę ewolucji, dopełniła jedynie zapoczątkowanej przez Kopernika detronizacji człowieka jako władcy przyrody pozostającego poza nią. Jej konsekwencje naukowe okazały się natomiast znacznie dalej idące. Sięgają dziś od termodynamiki po humanistykę. Trudno o bardziej przekonujący dowód jedności nowoczesnej nauki i jej mocy wyjaśniania zjawisk otaczającego nas świata, jak i zagadek działania naszej psychiki i ducha. To chyba wystarczający powód, by przebieg i mechanizmy ewolucji biologicznej warto było studiować.

ŚWIATOWY KRYZYS FINANSOWY – PRZYCZYNY I SKUTKI

Wykład inauguracyjny w Szkole Głównej Handlowej

LESZEK BALCEROWICZ

Szkoła Główna Handlowa

W ciągu ostatnich dwóch lat ekonomiści nie mają wielkiego wyboru, jeśli chodzi o wybór tematu. Czy chcą, czy nie chcą, muszą mówić o kryzysie. Jak można było zauważyć, to właśnie kryzys był także głównym bohaterem w wystąpieniach młodzieży w czasie dzisiejszej inauguracji.

Dlaczego ten kryzys nazywa się finansowym?

Dlatego, że rozpoczął się w sektorze finansowym, który z definicji obejmuje banki i innych pośredników finansowych, a także rynki rozmaitych aktywów.

A dlaczego nazywamy go światowym?

Nie dlatego, że wszędzie rozpoczął się jednocześnie i wszędzie występuje w takiej samej skali. Globalne problemy nie zawsze są w tym sensie globalne. Ten kryzys nazywamy światowym dlatego, że rozpoczął się w największej gospodarce świata, czyli w Stanach Zjednoczonych i następnie objął inne ważne gospodarczo kraje. Gdy większość świata dotknięta jest kryzysem, to każdy go odczuwa, choć z różną siłą.

Z czego ten kryzys się wziął?

Zanim spróbuję się do tego odnieść, uspokoję państwa mówiąc, że nie należy kryzysu, który rozpoczął się w Stanach Zjednoczonych w 2007 roku w żadnej mierze zestawiać z Wielkim Kryzysem lat 30. Dlaczego? Otóż tamten kryzys doprowadził do spadku rozmiarów amerykańskiej gospodarki o ponad 20%, ten – o około 4%. Tamten doprowadził do zrujnowania ówczesnej globalizacji, czyli do rosnącej wzajemnej izolacji krajów świata, co przyczyniło się, bardzo

wydatnie, do jego pogłębiania. Dziś, jak na razie, szczęśliwie nie obserwujemy tak gwałtownego wzrostu protekcjonizmu. Więc choć ten kryzys będzie pewnie najgłębszym po II wojnie światowej, jest on jednakże daleko, daleko łagodniejszy niż kryzys lat 30.

Z czego więc się ten kryzys wziął?

Może zacznę od interpretacji, które uważam za bałamutne, albo powierzchowne. Zacznę dlatego, że jak to zwykle bywa, są one dosyć popularne. A w gospodarce jest tak, jak w medycynie – terapia bywa poprawna zwykle wtedy, kiedy jest oparta na poprawnej diagnozie.

Pierwsza niepoważna interpretacja mówi, że **jest to kryzys kapitalizmu**. W takim myśleniu o kryzysie występuje elementarny błąd, bo **nie każdy kryzys w kapitalizmie jest kryzysem kapitalizmu**. Kapitalizm definiujemy przez pewne instytucjonalne fundamenty: własność prywatną i umowę, zamiast nakazu jako instrumentu koordynacji działań ludzkich. Nic takiego nie zostało dotknięte tym kryzysem. A ponadto, gdzie mielibyśmy szukać lepszych rozwiązań? Na Kubie? W Korei Północnej? Czy lepiej byłoby cofnąć się do przeszłości, czyli do socjalizmu, gdzie królowała własność państwowa (czyli polityczna) oraz centralne planowanie? A więc – jak mówiłem – nie jest to poważne, choć dosyć popularne dziś wyjaśnienie.

Pseudowyjaśnienie numer 2 mówi, że **dzisiejszy kryzys jest skutkiem albo objawem bankructwa neoliberalizmu**. Z taką interpretacją – na poziomie logicznym – jest jeszcze gorzej. Bo gdy zapytamy, co znaczy ten neoliberalizm, to zwykle nie otrzymujemy odpowiedzi, ale wiadomo, że zdaniem mówiącego jest to coś – z samej definicji – bardzo złego. Przypomina mi to praktyki właściwe dla okresu socjalizmu. Wtedy, w roli takiej ideologicznej pałki, występowało słówko „burżuazyjny”. Jeżeli tylko usłyszało się, że coś jest „burżuazyjne”, to od razu człowiek wiedział, że to coś, to jest coś złego. Dziś mamy wolność, ale chwyt retoryczny bywają podobne, zmieniają się tylko słowa. Proszę pamiętać, że jeżeli ktoś używa takiego chwytu zamiast argumentacji, to się intelektualnie dyskwalifikuje. I nie chodzi tu o poglądy, ale o metodę.

Trzecie pseudowyjaśnienie jest też popularne. Mówi ono, że *przyczyną kryzysu jest chciwość* (po angielsku *greed*). To przemawia do wielu osób, bo przecież wszyscy jesteśmy przeciw chciwości. Na czym polega problem z tą interpretacją? Otóż, nie wiadomo o co w niej chodzi. Czy winę przypisuje się jakimś wypaczonym charakterom, czy zachowaniom, które nazywamy „chciwymi”? Jeżeli przyjąć, że chodzi o wypaczone charaktery określonych osób, to trzeba zapytać skąd się one wzięły. Czy jakiś wirus chciwości nagle się uaktyw-

nił i zapanował w świecie finansowym? Nie znam żadnych badań nowoczesnej biologii, które by tę hipotezę potwierdzały. A może winę ponosi negatywna selekcja na określone stanowiska? Ale jeśli używa się takiego argumentu, to trzeba sprawdzić, czy tak rzeczywiście jest. I wreszcie, jeżeli chodzi o zachowania, które nazywa się „chciwymi”: jeśli rzeczywiście takie właśnie – chciwe – zachowania określonych ludzi, w określonych miejscach, miały doprowadzić do obecnego kryzysu, to trzeba zapytać, skąd się wzięły – teraz i w takich miejscach – takie zachowania. Naukowcy, w tym także ekonomiści, zwykle zajmują się badaniem przyczyn określonych zjawisk i nie powinni konkurować z kazznodziejami. Po pierwsze, dlatego że nie sprostają konkurencji, a po drugie – bo nie to jest ich zajęciem. Ich zajęciem jest chłodno, analitycznie badać, posługując się poprawnymi metodami, jakie czynniki można uznać za przyczyny określonych zjawisk. Więc i to pseudowyjaśnienie, choć dobrze brzmiące, także jest niepoważne.

I wreszcie czwarte, które mówi tak: **to jest kryzys współczesnego, kapitalistycznego sektora finansowego**. Ma ono wielką siłę przyciągania, ale jest powierzchowne. Dlaczego? Bo jest ono związane z ryzykiem pomieszania symptomów i przyczyn. Z faktu, że dane zjawisko kryzysowe występuje w określonym miejscu nie wynika, że to miejsce jest przyczyną tego zjawiska. Nie trzeba być ekonomistą, aby to wiedzieć, to jest elementarna logika. Żeby wyrazić te myśli jeszcze dobitniej, powiem tak: zgodzimy się zapewne, że katar występuje głównie w nosie, ale nie powiemy, że przyczyną kataru jest nos. Nie byłoby to zbyt poważne wyjaśnienie. Nie chcę przez to powiedzieć, w żadnej mierze, że nie było istotnych błędów na szczytach niektórych dużych organizacji finansowych. Były. Ale generalnie z faktu, że kryzys zaczął się w sektorze finansowym nie wynika, logicznie rzecz biorąc, że tam tkwią jego główne przyczyny. Zasadnicze przyczyny występowały poza miejscem, gdzie kryzys wystąpił. Trzeba pamiętać, że współcześnie sektor finansowy działa w otoczeniu tworzonym w dużej mierze przez władze publiczne: polityka pieniężna jest rezultatem publicznych banków centralnych. Przepisy prawa są dziełem legislatorów. Szczegółowe regulacje są dziełem regulatorów i wreszcie – dziełem nadzorców. Jest to sektor, który jest dużo bardziej uregulowany, niż na przykład produkcja butów czy cegieł. Jeśli wobec tego owe ramy mają jakieś wady czy słabości, to po pewnym czasie ludzie i instytucje działające w owych ramach będą się także zachowywać w sposób, który będzie prowadził do kumulacji niebezpiecznych zjawisk. Druga wskazówka jest taka: w ramach sektora finansowego najpoważniejsze zaburzenia wystąpiły w tych jego częściach, które są najbardziej, a nie najmniej uregulowane, tzn. w rozmaitych bankach. Politycy jednak, jak się zbiorą, to szukają zwykle kozłów

ofiarnych poza własnym gronem. Dotyczy to również spotkań grupy 20, która wskazała na fundusze *hedgingowe* i na *private equity funds*. Ale to są raczej ofiary kryzysu, nie jego sprawcy. To jest odwracanie uwagi od prawdziwych przyczyn.

Co zatem – w świetle empirycznie uzasadnionych analiz – można uznać za przyczyny kryzysu? Tu odwołam się do oficjalnego raportu, w którego przygotowaniu miałem okazję uczestniczyć. Jest to raport ośmiu osób, pod przewodnictwem Jacquesa de Larosièrre, przygotowany dla Unii Europejskiej. W tym powszechnie dostępnym i z uznaniem powitany przez Unię Europejską dokumencie jest zwarta diagnoza, będąca próbą identyfikacji ważnych empirycznie przyczyn kryzysu. **Są to głównie błędy władz publicznych.** Jakże? Po pierwsze, zbyt luźna polityka monetarna amerykańskiego banku centralnego, czyli FED – a zwłaszcza: obniżanie stóp procentowych do poziomu 1% w 2003. Jeżeli FED obniża stopy procentowe, to – prędzej czy później – inne banki centralne robią podobnie i – w efekcie, jeśli stopy procentowe w dużych częściach świata są niskie, to kredyt rośnie zbyt szybko. Tak się rzeczywiście stało. Rósł zwłaszcza kredyt, który trafiał na rynki mieszkaniowe, windując ceny domów i nieruchomości. To była faza przyjemna, nazywana boomem. Ale, niestety, jest tak, że te przyjemne rzeczy, które zbyt szybko rosną, mają tę fatalną przypadłość, że się odwracają. Myślę, że jest to twierdzenie nie tylko ekonomiczne, że większość ważnych dóbr ma optymalne dawki i że te optymalne dawki rzadko są maksymalnymi. Na pewno dotyczy to kredytu. Po drugie, w Stanach Zjednoczonych władze polityczne wywierały silne naciski na instytucje finansowe, żeby udzielały kredytu mieszkaniowego osobom o niskiej wiarygodności kredytowej. I tak się rzeczywiście działo. Po trzecie, można zidentyfikować niektóre wcześniej istniejące i do dziś dnia obowiązujące oficjalne przepisy, czyli regulacje, które przyczyniły się do kryzysu. Nie będę tu wchodził w dosyć techniczny temat, wspomnę tylko, że sektor finansowy jest uregulowany w skali międzynarodowej – to są między innymi przepisy Bazylei 1, uchwalone przez międzynarodowy komitet, działający przy Banku Rozliczeń Międzynarodowych w Bazylei. Z perspektywy zidentyfikowano pewne przepisy, które skłaniały banki do zbyt ryzykownych zachowań. I wreszcie, do kryzysu przyczyniła się nadmiernie ekspansywna polityka fiskalna, czyli to co w Polsce nazywa się popularnie „pobudzaniem”. Nie jest przypadkiem, że tam, gdzie bańka mieszkaniowa najbardziej nabrzmiała, by potem z hukiem pęknąć, to jednocześnie prowadzono politykę agresywnego pobudzania fiskalnego, czyli szybkiego wzrostu wydatków połączonego z pogarszaniem się salda finansów publicznych. Tak było w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych, w Irlandii, na Łotwie.

Powyższa lista przyczyn nie jest pełna, ale obejmuje ważne czynniki, zwykle identyfikowane – w bardziej fachowych dyskusjach – jako powody obecnego kryzysu. Do tej listy dodaje się czasami i to, że zbyt daleko poszło ograniczenie odpowiedzialności w przedsiębiorstwach (czyli od czasu do czasu jest kwestionowana spółka z ograniczoną odpowiedzialnością). Tu dochodzimy do problematyki nazywanej ładem korporacyjnym. Może przypomnę w tym miejscu, że już Adam Smith miał silne podejrzenia, że jak się wprowadzi *limited liability*, czyli spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, to odpowiedzialności będzie za mało, albowiem natura ludzka jest ułomna – ludzie będą nadmiernie ryzykować, jeśli ryzyko spada na innych.

Z powyższej diagnozy wynikają pewne wnioski odnośnie **prewencji**, czyli działań/rozwiązań, które miałyby zmniejszyć ryzyko podobnie poważnego kryzysu w przyszłości. Może wspomnę tylko, jakie działania są proponowane. Po pierwsze, polityka pieniężna powinna być jeszcze ostrożniejsza niż ta, która służy realizacji celu inflacyjnego. (W Polsce to jest 2,5%, a obecnie inflacja wynosi grubo powyżej 3%). Otóż, wniosek z obecnego kryzysu jest taki, że polityka pieniężna powinna brać pod uwagę swój wpływ na narastanie nie tylko ceny dóbr konsumpcyjnych, ale i na wzrost cen aktywów, w tym nieruchomości. Uznaje się za poważny błąd to, że FED w 2003 roku obniżył stopy do 1%, bo inflacja (mierzona tylko przez ceny konsumpcyjne) była niska. Nie zwrócił uwagi na fakt, że to doprowadzi do wzrostu napływu pieniądza na rynek mieszkaniowy i w rezultacie do narastania bańki spekulacyjnej właśnie tam, na tym rynku. Po drugie, wskazuje się na potrzebę tzw. regulacji makroostrożnościowych, czyli wprowadzenia takich przepisów, które by hamowały ekspansję kredytową banków wtedy, kiedy uznaje się, że jest ona nadmierna. Jest tu jeszcze wiele pracy technicznej do zrobienia, ale sama zasada, że niekiedy kredyt może rosnąć zbyt szybko i trzeba o tym pamiętać i temu przeciwdziałać, jest słuszna (to tak, jak jazda samochodem – są ograniczenia szybkości i trzeba na to uważać). W Polsce takim środkiem makroregulacyjnym była tak zwana regulacja S, którą Komisja Nadzoru Bankowego wprowadziła w 2006 r., aby ograniczyć tempo wzrostu kredytów denominowanych w walutach zagranicznych. Nawiasem mówiąc, Polska była – wedle mojej wiedzy – jedynym krajem, który podjął wówczas takie działania. Po trzecie, i to jest postulat tradycyjny, który przez to nie traci swojej mocy: polityka fiskalna powinna być bardzo, bardzo ostrożna. Jeszcze raz powiem, co to jest pobudzanie. Nawiązuję do tego słowa, bo jest ono często używane, żeby zrobić ludziom wodę z mózgu. Otóż, pobudzanie można porównać do wciskania pedału gazu w samochodzie, który już zjeżdża z góry. Gdy się to robi, to są konsekwencje i są to przykre konsekwencje.

I wreszcie, w raporcie de Larosièrea, jest także mowa o wzmocnieniu mechanizmu wczesnego ostrzegania. Postulat ten jest w Unii Europejskiej w trakcie realizacji. W efekcie ma powstać coś, co się nazywa europejskim komitetem systemów ostrzegania przed ryzykiem systemowym.

Czwarty temat, który chyba wszystkich interesuje to – **skutki kryzysu dla krajów, w których on nie wybuchł**. Powiedziałem na wstępie, że jeżeli większość gospodarki świata jest dotknięta recesją, to inne kraje także to odczuwają, ale w różnym stopniu. I te różnice stopnia odczuwania w Europie Środkowo-Wschodniej są bardzo duże. Generalnie, od czego zależy, czy te kraje „poza centrum kryzysu” zostały nim dotknięte mocno czy silnie? Od dwóch czynników. Po pierwsze, od siły powiązań kraju spoza „centrum” z krajami Zachodu. Te powiązania są dwojakie. Jedne – finansowe. Otóż, na szczęście, banki w krajach naszego regionu okazały się na tyle zacofane, że nie inwestowały w wyszukane papiery wartościowe w Stanach Zjednoczonych i związku z tym nie poniosły z tego tytułu strat. Poniosły, oczywiście, straty z powodu zbyt szybkiego wzrostu kredytu mieszkaniowego. I po drugie – powiązania handlowe. Generalnie nie można się rozwijać, jeżeli ma się gospodarkę zamkniętą. Ale otwarcie ma także swoje konsekwencje: od czasu do czasu przynosi nie tylko korzyści, ale i wstrząsy. To jest jak z ogniem, zgodzimy się pewnie, że bez ognia nasze życie byłoby dużo bardziej prymitywne. Ale pamiętajmy, że można od czasu do czasu także się ogniem poparzyć. Drugim czynnikiem różnicującym dotkliwość odczuwanych skutków zewnętrznego kryzysu jest skala wcześniejszego pobudzania gospodarki, w tym natężenie boomu kredytowego.

Pod względem otwarcia na handel zagraniczny występują pomiędzy krajami naszego regionu duże różnice. To dobry punkt wyjścia do tematu, który jest na ustach wszystkich: otóż czujemy się bardzo dumni z tego powodu, że w Polsce jest mniejsze spowolnienie niż w innych krajach Europy, że mamy szansę uniknąć recesji. Z czego się to bierze? Moim zdaniem, z kombinacji paru czynników, z których niektóre mają charakter obiektywny, tzn. nie są żadną naszą zasługą. Po pierwsze, my jako kraj większy jesteśmy dużo mniej zależni od rynków zewnętrznych niż Węgrzy, Czesi, Litwini, Łotysze. I – w związku z tym – te zewnętrzne wstrząsy handlowe nas mniej dotyczą. Po drugie, w odróżnieniu od Ukrainy czy Rosji nasza gospodarka nie zależy w tak dużym stopniu od produkcji i eksportu pojedynczych surowców. W przypadku Rosji jest to ropa i gaz. W przypadku Ukrainy – wyroby metalurgii. Stąd też nie mamy z tego powodu syndromu: najpierw boom, a potem załamanie. Nasz eksport, szczęśliwie, jest znacznie bardziej zróżnicowany. Po trzecie, udało nam się uniknąć równie szybkiego wzrostu kredytu, jak w krajach nadbałtyckich

czy na przykład w Bułgarii, czy na Ukrainie, choć i u nas wzrost kredytu od 2007 roku był nadmierny (do 2007 roku w miarę umiarkowany, co moim zdaniem trzeba wiązać z polityką pieniężną, a także z nadzorem bankowym). Na ten czynnik wskazują obserwatorzy zewnętrzni. I wreszcie, po czwarte, polityka fiskalna w Polsce w okresie 2005-2007 była bardzo zła. Przypomnę, że wtedy gospodarka rosła szybko, a wydatki budżetowe – jeszcze szybciej. Na dodatek obniżano dochody z podatków. Ale na szczęście nie była tak katastrofalna jak na Węgrzech. Jeżeli ktoś chce się przekonać, jakie mogą być skutki skrajnego fiskalnego pobudzania gospodarki, niech popatrzy na Węgry, gdzie dwie główne konkurujące ze sobą partie licytowały się w budżetowej lekko-myślności. W ten sposób Węgrzy dorobili się katastrofy fiskalnej. To powinien być bardzo pouczający punkt obserwacyjny dla naszego społeczeństwa.

Zakończę swoje wystąpienie leninowskim pytaniem: **co robić?**

Co robić, oprócz prewencji, o której już mówiłem? Co powinno się robić w kraju, który – tak jak Polska – chce szybko doganiać tych zamożniejszych? Uważam, że to dziejowa misja – bo każdy w Polsce chce lepiej żyć. Same pragnienia tego typu nie zamieniają się jednak w rzeczywistość. Trzeba tworzyć lepsze warunki dla produktywnych działań ludzi, takich jak porządna praca, innowacje, oszczędzanie i inwestowanie, uczenie się. Wtedy będziemy szybko doganiać Zachód. W związku z tym wspomnę o paru kwestiach, które mamy do rozwiązania, jeżeli nie chcemy być tylko przejściowym tygrysem Europy. To nam grozi, bo kryzys odsłonił ogromne problemy w naszych finansach publicznych. Dlatego najważniejsza – z punktu widzenia perspektyw naszego rozwoju – jest naprawa finansów publicznych. To nie jest tak, że nagle powstała nam kolejna budżetowa dziura. Prawda jest taka, że ona odsłoniła się dlatego, że nasze finanse są chronicznie chore. Mówiąc jeszcze inaczej: Polska cierpi na przedwczesną fiskalną euro-sklerozę. Polega ona na tym, że mamy gigantyczne wydatki w relacji do PKB, gigantyczne – znaczy ok. 43-44%. Niektórzy mówią, że to nie jest dużo, bo w Szwecji jest ponad 50%, ale jest to bałamutne porównanie, bowiem trzeba się porównywać ze Szwecją wtedy, kiedy miała poziom dochodu na mieszkańca taki, jaki dziś ma Polska. Wtedy, tj. w latach 60., wydatki budżetowe w Szwecji w relacji do PKB wynosiły 34%; w innych krajach Zachodu były jeszcze niższe. Nie znam żadnego kraju, który przez wiele lat rozwijałby się szybko, powiedzmy w tempie 4-5% rocznie, z takimi obciążeniami fiskalnymi, jak Polska. Główną przyczyną tych fiskalnych obciążeń budżetu są rozdęte wydatki socjalne, często źle adresowane. Pamiętajmy, że nadopiekuńczość psuje nie tylko jednostki, ale i całe społeczeństwo. Nadopiekuńczość

socjalna obniża skłonność do pracy i do indywidualnego oszczędzania, co z kolei ogranicza krajowe inwestycje. Dyskusja o podatkach jest kompletnie jałowa, jeżeli nie dotyczy jedynej przyczyny ich wysokiego poziomu, czyli rozdętych wydatków.

Drugim zadaniem jest prywatyzacja, czyli ograniczenie własności państwowej. Własność państwowa zatruwa zarówno politykę, jak i gospodarkę. Zatrzuwa gospodarkę dlatego, że przy własności państwowej ostatecznymi decydentami są politycy i – podlegli im urzędnicy. Nie chodzi o to, że politycy są z reguły źli; oni są mniej więcej tacy, jak społeczeństwo. Ich rozkład pod względem intelektu i charakteru odpowiada mniej więcej rozkładowi cech osobowościowych w całym społeczeństwie, może z lekką przewagą zaangażowania do pokazywania się w telewizji. Więc generalnie nie można winić polityków, jeżeli ma się demokrację. Po prostu trzeba lepiej wybierać. Otóż, politycy nie nadają się na dobrych właścicieli przedsiębiorstw, bo system bodźców, jakiemu podlegają, utrudnia im podejmowanie decyzji dobrych dla poszczególnych firm; część takich decyzji jest niepopularna. A dlaczego własność państwowa zatruwa politykę? Obserwujemy to każdego dnia. Wystarczy popatrzeć na telewizję publiczną, na te różne spółki publiczne, gdzie jest ciągła karuzela stanowisk, co samo w sobie uniemożliwia porządne zarządzanie. Uważam, że utrzymywanie własności państwowej o takich nieuchronnych defektach jest niehumanitarne. Dlaczego? Dlatego, że uniemożliwia stawianie czoła konkurencji ludziom pracującym w przedsiębiorstwach państwowych wobec tych, którzy zatrudnieni są w przedsiębiorstwach prywatnych. To jak wepchnąć kogoś na ring z jedną zawiązaną ręką i kazać mu walczyć z tym, który ma dwie ręce wolne.

Po trzecie, powiedziałem wcześniej – państwo nie powinno być rozdęte socjalnie. Państwo jest tak cennym dobrem, że powinno występować w małych dawkach. Ale ta mała dawka z całą pewnością powinna obejmować dobry wymiar sprawiedliwości. I tu jest wiele, wiele do zrobienia, zwłaszcza, jeżeli chodzi o profesjonalizm i organizację, zarówno w prokuraturze, jak i w sądach. Nie ma żadnego uzasadnienia, dlaczego przeciętne oczekiwanie na orzeczenie sądowe, przynajmniej w Warszawie (może np. w Poznaniu jest lepiej), jest tak długie. To skazuje od razu małe przedsiębiorstwa na przegraną w sporach z większymi przedsiębiorstwami. Nie będę mówił o szkolnictwie i sektorze badań, tu także jest dużo do zrobienia. Musimy zerwać z rozmaitymi mitami, np. z takim, że przy produkcji butów i cegieł socjalizm się nie sprawdził, ale w usługach oświatowych czy medycznych jest niezastąpiony. Takie myślenie nie ma głębszego uzasadnienia w analizach i teoriach nauk społecznych.

Chciałbym to wystąpienie zakończyć optymistycznie. Otóż życie byłoby nudne, gdybyśmy wszystkie problemy już rozwiązali. Od 20 lat mamy możliwość kształtowania dobrych warunków dla naszej pracy i naszego życia, wykorzystajmy więc ją jak najlepiej. W demokracji ostateczną władzą jest opinia publiczna. To z niej się biorą politycy, a w ślad za tym programy, dobre lub złe. Myślę, że nie jest przesadą oczekiwanie od środowiska ekonomicznego, naukowego, a także od studentów, że będą w awangardzie tych, co będą kształtować opinię publiczną w Polsce, w kierunku dobrym dla szybkiego i stabilnego rozwoju naszego kraju.

O HISTORII SĄDOWNICTWA W POLSCE LUDOWEJ

Wykład inauguracyjny w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego

ADAM STRZEMBOSZ

Prezes Sądu Najwyższego w latach 1990-1998

**Magnificencjo, Panie Rektorze, Ekscelencjo, Magnificencje,
Wysoki Senacie i wszyscy tutaj zgromadzeni Państwo!**

Pozwólcie, że podzielę się moją skromną, ale upoważniającą do tego wystąpienia wiedzą o historii sądownictwa w Polsce Ludowej, a szczególnie w okresie stanu wojennego. Muszę mówić, ogromnie upraszczając tę materię, ponieważ jest jasne, że w czasie, jaki otrzymałem do dyspozycji, mogę jedynie ogólnie i bardzo skrótowo mówić na ten temat.

W kraju uwalnianym od okupacji niemieckiej przez wojska sowieckie budująca się władza ludowa wezwała wszystkich prawników, a szczególnie sędziów, do stawienia się w służbie. I tak się stało. Większość sędziów, którzy przeżyli okres okupacji, znalazła się na stanowiskach sędziowskich, ale oczywiście ten okres powrotu w pewnym sensie od strony personalnej do drugiej Rzeczypospolitej trwał niezwykle krótko. Już w 1946 roku powołano Oficerską Szkołę Prawniczą, a w 1948 roku w Ministerstwie Sprawiedliwości Szkołę Prawniczą, gdzie na studiach trwających od 6 do 15 miesięcy kształcono kandydatów na sędziów, od których wymagano jedynie ukończenia co najmniej 7 klas oraz rekomendacji od organizacji partyjnych lub związkowych. Później wprowadzie utworzono szkołę dwuletnią im. Duracza, ale w niej kształcono jedynie przyszłą kierowniczą elitę sądownictwa. I rzeczywiście, tak ukształtowani sędziowie spełnili oczekiwania polityczne, gdy po wyrugowaniu z sądownictwa przedwojennych sędziów, orzekających w sprawach karnych, zajęli ich stanowiska. Od 1949 roku zaczyna się okres niezwykle drakońskich represji, orzekanych przez sędziów sądów powszechnych, bo sądy wojskowe już od 1945 roku w sposób niezwykle intensywny te represje stosowały. Przy czym należy pamiętać, że

sędziowie, którzy przywędrowali z I i II Armią Wojska Polskiego ugruntowanie prawne mieli na podstawie rozkazu dowódcy, a nie na podstawie jakichkolwiek przepisów ustawowych. Następnie powołano rejonowe sądy wojskowe, które początkowo miały znajdować się w resorcie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ale ostatecznie znalazły się – z przyczyn finansowych – w resorcie obrony narodowej. Utworzono również Najwyższy Sąd Wojskowy przez długie lata kierowany przez oficerów radzieckich. Sędziowie sądów rejonowych nie składali przyrzeczenia zachowania bezstronności czy też niezależności od nacisków zewnętrznych. W 1949 roku powołuje się pierwsze sekcje tajne, najpierw w Ministerstwie Sprawiedliwości, później w kilku sądach wojewódzkich na terenie całej Polski. Kieruje się tam ludzi dobranych według klucza politycznego.

Zdarzały się też tzw. pomyłki, trafiali tam także ludzie porządni, których jednak szybko eliminowano z tych sekcji, równocześnie usuwając z wymiaru sprawiedliwości. Represyjność sekcji tajnych jest zupełnie niezwykła. Nie ma obrońców z wyboru, nie ma przypadków uwzględniania wniosków obrońców, jeżeli ci byli z prawdziwego zdarzenia.

W 1956 roku, kiedy specjalne komisje przeprowadziły weryfikację orzeczeń sądów wojskowych i sekcji tajnych, ustalono, że w kilkudziesięciu przypadkach spośród niewielkiej liczby zbadanych spraw dopuszczono się zbrodni sądowej. Mimo to zalecenia komisji w stosunku do autorów wyroków były bardzo łagodne. O wyrozumiałości tych komisji świadczy sprawa Emila Fieldorfa, która została potraktowana jako wzorcowa – prawidłowo przeprowadzona, chociaż nie dopuszczono żadnych wniosków obrońców, a wyrok został oparty na jawnie sfałszowanych dokumentach.

Wojskowe sądy rejonowe działały w sposób nieprawdopodobny. Wystarczy powiedzieć, że Najwyższy Sąd Wojskowy rozpowszechniał teorie, że stosowanie reguły *in dubio pro reo* (brak dostatecznych dowodów winy, który powinien skutkować uniewinnieniem) jest niedopuszczalne, ponieważ wróg ludowy z takich uprawnień korzystać nie może. Tak samo zalecano stosowanie analogii w prawie karnym (co było zwykłym horrendum). Jeżeli władza ludowa nie zdążyła jeszcze zakazać jakiegoś czynu, a on był podobny do już karanego, to nie było przeszkód, ażeby postawić sprawcę takiego czynu przed sądem. W sądach wojskowych i sekcjach tajnych stosowano tzw. pytajnik. Oznacza to, że sędzia dostawał zestaw pytań, które mógł zadać na rozprawie i poza te pytania nie wolno mu było na rozprawie wyjść. Były i inne metody ograniczania dochodzenia do prawdy. Po pogromie kieleckim w 1946 roku obrońcom zakazano zadawania pytań, które miały ustalić przebieg zdarzeń, bo przecież gdyby ustalono stan faktyczny, wiadomo byłoby, że do określonego budynku wdarli się najpierw żołnierze i milicjanci, a żaden z nich nie stanął przed sądem.

Po 1956 roku sytuacja uległa jednak radykalnej zmianie, ponieważ teraz do sądownictwa trafiali ludzie z pełnym wykształceniem prawniczym, po aplikacji i egzaminie sędziowskim. Również kryteria polityczne, te kryteria, które wcześniej zawężyły możliwość orzekania w sądach powszechnych czy wojskowych jedynie do wybranej grupy osób, zostały rozluźnione, chociaż oczywiście pilnowano, aby obsadzanie stanowisk kierowniczych zależało od właściwej politycznej postawy tych, którzy mieli sądami kierować.

Wielką klęską okresu po 1956 roku było to, że mimo negatywnych wniosków komisji, które badały orzecznictwo sekcji tajnych i sądów wojskowych, do wymiaru sprawiedliwości wrócili ludzie, którzy przedtem narażali na szwank honor sędziego, wydając karygodne orzeczenia. Zaczęli oni znowu zajmować wysokie stanowiska w Izbie Wojskowej i Karnej Sądu Najwyższego, zostawali prezesami sądów, orzekali w bardzo nieraz politycznych czy upolitycznionych sprawach.

Ale przychodzi 1979 rok i ja z tego roku mam bardzo dokładne dane dotyczące wykształcenia i *curriculum vitae* korpusu sędziowskiego, który wówczas orzekał w Polsce. Otóż okazuje się, że liczba sędziów bez pełnego wykształcenia prawniczego zmalała do paru procent. Co prawda za odpowiednio przygotowanych zawodowo uważa się takich sędziów, którzy w bardzo krótkim czasie ukończyli specjalnie powołane studium przy Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Niewątpliwie skład tej kadry od strony jej przygotowania merytorycznego i od strony reprezentowania tych wartości, które były akceptowane w społeczeństwie, radykalnie się zmienił. Przychodzi rok 1980. Na terenie Polski powstają organizacje „Solidarności”, powstają one również w sądownictwie. Najpierw w małym sądzie w Oławie, potem w Gdańsku, potem w całej Polsce. Na około 7000 sędziów i asesorów około 1000 jest w „Solidarności”. Poparcie tych, którzy nie wstąpili do tego związku, ale się z nim identyfikują, jest znaczne. Powstają interesujące inicjatywy. Na przykład w środowisku krakowskim, niezwykle mocnym (w okręgu wojewódzkim 600 osób należało do „Solidarności”), tworzy się ogólnopolskie fora prawnicze, które dyskutują najważniejsze problemy sądownictwa. Powstają także Centrum Inicjatyw Ustawodawczych i Ogólnopolska Społeczna Rada Legislacyjna.

Podam jeden przykład, w jakiej atmosferze to się dzieje. Utworzono dla całej Polski Krajową Komisję Koordynacyjną Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości NSZZ „Solidarność”. Dwóch przedstawicieli tej Komisji, mało znany w Krakowie docent z Warszawy i dobrze znany, ale młodziutki sędzia Sądu Rejonowego w Krakowie, występują do tuzów prawniczych Uniwersytetu Jagiellońskiego z propozycją powołania tejże Społecznej Rady Legislacyjnej. Nikt nie żąda żadnych dokumentów, nikt nie prosi o uwiarygodnienie tych

dwóch panów. Rada powstaje natychmiast. Na jej czele stają byli rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Stefan Grzybowski. Tworzą się komisje legislacyjne. Przedstawiciele Solidarności zwracają się do Władysława Woltera, najwybitniejszego niewątpliwie profesora prawa karnego w Polsce, aby stanął na czele komisji reformy prawa karnego. Profesor odpowiada, że jest członkiem „Solidarności” i traktuje to jako swoiste polecenie związkowe. Powstaje „Solidarność” w Ministerstwie Sprawiedliwości i jest tam najsilniejszym związkiem zawodowym. Powstaje, lecz słabsza, „Solidarność” w Sądzie Najwyższym. W sądach warszawskich organizuje się Międzyzakładowa Komisja „Solidarności”, która reprezentuje 9 organów sądowych.

Przychodzi stan wojenny. Zostają uchwalone, w jaki sposób – wszyscy wiemy, dekrety o stanie wojennym. Dekrety, które nie mają żadnej mocy prawnej, bo zostały wydane w okresie, gdy Sejm obradował, tzn. funkcjonowały jego komisje, co się uważa za równorzędne z pracą całego Sejmu. W dekretach o stanie wojennym przepisy karne działają wstecz. Zasada *lex retro non agit* została złamana. Naruszono podstawowe prawa człowieka i obywatela. Represyjność w tym czasie jest powszechnie znana i nie będę jej omawiał. Jednym z najważniejszych organów realizujących tę represyjność mają być sądy – zarówno wojskowe, jak i powszechne. I otóż cóż się dzieje? W latach 1982-1983 najważniejszy wydział karny w Polsce – Wydział I Instancji w Sądzie Wojewódzkim dla Miasta Warszawy – orzeka tak oto: w ciągu tych 2 lat, gdy w Ministerstwie powołano tzw. brygadę tygrysa, której zadaniem jest objeżdżanie sądów i wywieranie presji na sędziów, w sytuacji, w której Ministerstwo żąda od prezesów codziennego raportu o toku spraw i wydanych wyrokach w sprawach politycznych, w 48,8% przypadków zapadają wyroki uniewinniające. W skali kraju w poprzednich latach we wszystkich sprawach kryminalnych wyroki uniewinniające stanowiły od 2 do 4%. W sprawach politycznych w Sądzie Rejonowym Ochota odsetek uniewinnień wynosi 54%, a w Sądzie Rejonowym dla Miasta Warszawy aż 58%. Oczywiście reakcja władz jest niezwykle gwałtowna, szczególnie że równocześnie są takie wydziały i sądy, które orzekają zgodnie z oczekiwaniami. W tych sądach, szczególnie w Sądzie Najwyższym, błyszczą ci ludzie, którzy pełnili odpowiednie funkcje polityczne w sekcjach tajnych w latach 1949-1954. Aktywizują się również ci sędziowie, z reguły teraz pułkownicy sądów wojskowych, którzy przed 1956 rokiem działali w wojskowych sądach rejonowych. Ale opór innych sędziów jest tak wielki, że trzeba odwołać prezesa Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, rozpędzić cały Wydział Karny w tymże sądzie, pozbawić funkcji przewodniczącą tego wydziału, a na jej miejsce powołać pewnego sędziego, który zresztą po 2005 roku zrobił wielką karierę polityczną. Sędzia ten jednego dnia zostaje sędzią wojewódzkim,

a następnego przewodniczącym największego i najważniejszego wydziału karnego w Polsce. Rozpoczyna się specjalna akcja weryfikacji sędziów. W jej wyniku w latach 1984-1986 orzecznictwo tegoż wydziału i niektórych innych jest znacznie ostrzejsze niż było w okresie stanu wojennego i w okresie jego zawieszenia.

Podobny opór wobec ustawodawstwa stanu wojennego występuje w Krakowie. Są też jednak sądy wojewódzkie, które się chlubnie nie zapisują, na przykład w Katowicach i we Wrocławiu. Również w niektórych mniejszych sądach wojewódzkich sędziowie nieraz nie potrafią odeprzeć niezwyklej presji, jaką na nich wywierają: milicja, WRON, Ministerstwo Sprawiedliwości i ich bezpośredni zwierzchnicy.

Ostatecznie, jeżeli analitycznie spojrzeć na to orzecznictwo, dwa wnioski z tego płyną:

1. W okresie stanu wojennego doszło do ukształtowania się zespołów sędziów o postawach niezłomnych, stanowiących znaczny procent ogółu sędziów. Wystarczy stwierdzić, że w warszawskim sądzie wojewódzkim rozpatrującym najpoważniejsze sprawy, kilkunastu sędziów nie wydało innego wyroku jak uniewinniający. Podobnie było z sądami wojskowymi. Gdy przekonano się, że uniewinnienie skutkuje natychmiastową rewizją, a Izba Wojskowa Sądu Najwyższego wydaje bardzo surowe wyroki, wówczas zaczęto orzekać wyroki skazujące, ale z warunkowym zawieszeniem umieszczenia w zakładzie karnym. Okazało się, że taką korzystną dla oskarżonych politykę realizują sędziowie, których specjalnie do warszawskiego sądu dobrano, delegując do sądownictwa wojskowego trzech synów byłych sędziów Sądu Najwyższego i dwóch sędziów z Ministerstwa Sprawiedliwości. Jeżeli w Sądzie Wojskowym sprawy toczyły się głównie w trybie doraźnym, a uchylono ten tryb w 77% przypadków, to podważono podstawowe założenia dekretów o stanie wojennym. Ale to nie tylko to, mógłbym długo mówić o sądownictwie pracy, komisjach odwoławczych tam, gdzie pracowników pozbawiono pracy, usuwając ich w postępowaniu dyscyplinarnym.

Powołam się na jeszcze jeden przykład. Pan Jarosław Kaczyński uzyskał odszkodowanie od sądu pracy, po usunięciu go z dotychczasowego stanowiska, oczywiście wyrok ten był natychmiast uchylony przez odpowiednią izbę Sądu Najwyższego, a sędzia otrzymał wytyk. Niemniej właśnie takie były postawy sędziów sądów warszawskich. Trzeba tu zaznaczyć, że poza dwoma wyjątkami wszyscy sędziowie orzekający w wydziale pracy zachowali się bez zarzutu. Również sędziowie sądów rejonowych dele-

wani do komisji odwoławczych o charakterze administracyjnym, rozpoznających sprawy działaczy „Solidarności” pozbawianych zatrudnienia, tak narazili się władzy ludowej, że zostali z tych komisji odwołani, a na ich miejsce wyznaczono asesorów podatnych na naciski z zewnątrz.

2. To, co się stało w czasie stanu wojennego w postawach znacznej części sędziów, należy ocenić jako pierwszą znaną mi w historii polskiego prawa rewoltę przeciwko neopozytywizmowi prawniczemu. To znaczy w stosunku do takiego poglądu, według którego każde prawo ma być stosowane, jeżeli było wydane przez właściwy organ i właściwie promulgowane. Zrozumiano zatem różnicę między „ius” i „lex”. Prawem, które jest słuszne, prawem a ustawą, która może tych wartości nie reprezentować. Ci sędziowie, którzy umieli dochować niezawisłości, którzy umieli oprzeć się naciskom i spodziewanym represjom, nie zostali dotychczas w sposób specjalny wyróżnieni czy uhonorowani. W większości odeszli w stan spoczynku, ale myślę, że należy z jednej strony pamiętać ich nazwiska, a z drugiej wyciągnąć z sytuacji zaistniałej w stanie wojennym określone wnioski. Oczywiście, że mamy w tej chwili demokratyczne i odpowiednio uchwalane prawo, ale jeżeli nie chce się łamać sumień sędziowskich, to nawet w tych warunkach należy w ustawie o ustroju sądów powszechnych ustanowić klauzulę sumienia, odpowiednio oczywiście określoną, która by pozwoliła sędziemu uchylić się od rozpoznania sprawy na podstawie takiej normy prawnej, która nie byłaby w zgodności z jego przekonaniem etycznymi. Projekt takiej klauzuli istnieje. Postulat jej wprowadzenia w życie jest do zrealizowania.

O PEWNYCH ETYCZNO-PRAWNYCH DYLEMATACH ZWIĄZANYCH Z ZANIECHANIEM ŚWIADCZEŃ MEDYCZNYCH

Wykład inauguracyjny podczas Centralnej Inauguracji Roku
Akademickiego 2009/2010 Uczelni Medycznych w Teatrze
Wielkim – Operze Narodowej

ANDRZEJ ZOLL

Uniwersytet Jagielloński

Jest dla mnie wyjątkowym zaszczytem zaproszenie przez Jego Magnificencję do wygłoszenia tego inauguracyjnego wykładu rozpoczynającego 200. rok kształcenia lekarzy w Warszawie. Wszyscy sobie życzymy, żeby w następnych latach sukcesy odnosili zarówno profesorowie, jak i współpracownicy Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, sukcesy naukowe i dydaktyczne służące dobru pacjentów i całego społeczeństwa.

Mam mówić o związkach prawa i medycyny. Te związki są bardzo różnorodne. Prawo medyczne obejmuje wiele dziedzin z zakresu prawa. Jestem specjalistą prawa karnego i dlatego związki tej dyscypliny z medycyną są mi szczególnie bliskie. Nie chodzi mi tylko o problemy odpowiedzialności karnej lekarza, ale bardziej chcę się skoncentrować na trudnych dylematach, gdy lekarz musi stanąć przed wyborem, gdy spotyka się z sytuacją konfliktową. Dlatego na to dzisiejsze spotkanie wybrałem temat, w którym zazębiają się wzajemnie pola oddziaływania norm etycznych i norm prawnych. Szczególnie ciekawy jest z mojego punktu widzenia problem zderzenia się tych norm w kontekście zaniechania przez lekarza wykonania świadczeń medycznych.

Normy etyczne i normy prawne pozostają wobec siebie w stosunku niezależności, tzn. są normy etyczne, które nie znajdują swojego odpowiednika w normach prawnych, są normy prawne, które nie mają wsparcia w świecie norm etycznych i są normy etyczne i prawne pokrywające się, co do treści nakazu lub zakazu zawartego w dyspozycji normy. Ta relacja zachodząca pomiędzy zbiorem norm etycznych i zbiorem norm prawnych ograniczonych do

stosunków powstałych pomiędzy lekarzem i pacjentem wykazuje pewne cechy specyficzne. Niewątpliwie zupełnie marginalny będzie zakres norm prawnych zawierających nakazy lub zakazy określonego postępowania, które byłyby irrelewantne z punktu widzenia norm etycznych. Normy takie dotyczyć mogą w zasadzie działań bardziej natury administracyjnej, a więc w małym stopniu charakterystycznych dla stosunku lekarz-pacjent. Ze względu na regulacje prawne dotyczące samorządu zawodowego oraz wykonywania zawodów lekarza i lekarza dentysty normy etyczne obowiązujące lekarzy zostały bardzo ściśle zintegrowane z prawem stanowionym, wpływając w każdym razie na sposób interpretacji obowiązujących norm prawnych. Art. 4 ust. 1 pkt. 2 ustawy z 17 maja 1989 r. o izbach lekarskich (Dz. U. Nr 30, poz. 158) stanowi, iż do zadań samorządu lekarzy należy m.in. „*ustanawianie obowiązujących wszystkich lekarzy zasad etyki zawodowej i deontologii zawodowej oraz dbałość o ich przestrzeganie*”. Natomiast art. 4 ustawy z 5 grudnia 1996 r. o zawodach lekarza i lekarza dentysty (Dz. U. z 2005 r. Nr 226, poz. 1943) nakazuje lekarzowi wykonywać zawód „... *zgodnie z zasadami etyki zawodowej...*”. Na mocy więc prawa stanowionego, a nie tylko norm moralnych, każdy lekarz, bez względu na charakter prawny jego relacji z osobą potrzebującą świadczenia medycznego, jest zobowiązany do przestrzegania norm etycznych ustanowionych przez samorząd lekarski. Naruszenie **Kodeksu Etyki Lekarskiej (KEL)** jest jednocześnie naruszeniem nakazu wynikającego z art. 4 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty.

Zastanawiając się nad problemami etycznymi i prawnymi związanymi z zaniechaniem przez lekarza świadczenia pomocy medycznej, trzeba najpierw ustalić źródła i zakres zobowiązania lekarza do takich świadczeń. O zaniechaniu bowiem lekarza może być mowa jedynie wtedy, gdy aktualnym jest obowiązek świadczenia. Zaniechanie jako takie nie występuje. Zaniechanie jest zawsze powstrzymaniem się od nakazanego (etycznie albo prawnie) działania w oczekiwanym przez odpowiednią normę kierunku.

Obowiązkiem lekarza wynikającym wprost z art. 30 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty jest udzielenie pomocy lekarskiej w każdym przypadku, gdy zwłoka w jej udzieleniu mogłaby spowodować niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia oraz w innych przypadkach niecierpiących zwłoki. Ten obowiązek prawny jest wsparty normą art. 2 **KEL** stwierdzającego, iż „*powołaniem lekarza jest ochrona życia i zdrowia ludzkiego, zapobieganie chorobom, leczenie chorych oraz niesienie ulgi w cierpieniu*”.

Zaniechanie wykonania obowiązku udzielenia pomocy lekarskiej może wystąpić w bardzo różnych sytuacjach rzutujących na kwalifikację prawną

zaniechania i naturalnie też na ocenę moralną niewykonania obowiązku. Zaniechanie udzielenia pomocy będzie wynikiem przeprowadzenia procesu decyzyjnego, w którym przeważały motywy powstrzymania się od dania posłuchu normie nakazującej udzielenia pomocy. Lekarz znaleźć się może w sytuacji konfliktu pomiędzy wartościami mającymi istotne znaczenie z punktu widzenia norm prawnych, a także moralnych. Mówimy wtedy o kolizji dóbr chronionych prawem, w której to sytuacji konieczne być może poświęcenie jednego z kolidujących dóbr dla ratowania dobra drugiego. Poświęcenie dobra może być usprawiedliwione, nawet jeżeli tym dobrem jest dobro pacjenta oczekującego pomocy. Nie będzie nas w tej wypowiedzi interesowała sytuacja, w której lekarz zaniechał udzielenia pomocy bez wystąpienia sytuacji kolizyjnej albo dobro, które chciał chronić lekarz kosztem dobra pacjenta nie pozostawało do tego ostatniego w żadnej proporcji pozwalającej na sensowne rozważanie usprawiedliwienia (np. lekarz przebywający na urlopie w pensjonacie górskim nie ujawnia swojej profesji w sytuacji zasłabnięcia innego gościa pensjonatu).

Wyróżnić należy następujące sytuacje:

- a) zaniechanie pomocy lekarskiej ze względu na osobiste bezpieczeństwo lekarza;
- b) zaniechanie pomocy lekarskiej z uwagi na brak zgody pacjenta na udzielenie takiej pomocy;
- c) zaniechanie pomocy lekarskiej z powodu niezgodności pomocy z sumieniem lekarza;
- d) zaniechanie pomocy lekarskiej w sytuacji kolizji obowiązków.

Ad a. W sytuacji, gdy udzielenie pomocy lekarskiej łączy się z bezpośrednim narażeniem zdrowia lub życia lekarza na niebezpieczeństwo, dla rozstrzygnięcia sytuacji konfliktowej jest istotne, jaki jest charakter prawny obowiązku wynikającego z art. 30 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty. Czy każdy lekarz, jak uważają niektórzy, jest gwarantem bezpieczeństwa osoby zwracającej się do lekarza o pomoc lub takiej pomocy potrzebującej, co rodzi w wypadku niewykonania obowiązku odpowiedzialność za powstały skutek, czy też obowiązek z art. 30 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty ma charakter ogólny, rodząc w wypadku niewykonania obowiązku odpowiedzialność zawodową i ewentualnie odpowiedzialność za nieudzielenie pomocy człowiekowi znajdującemu się w bezpośrednim niebezpieczeństwie utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu (art. 162 *kodeksu karnego*). Przeważają zdecydowanie argumenty przemawiające za stanowiskiem, że w art. 30 ustawy

o zawodach lekarza i lekarza dentystry określony został obowiązek o charakterze ogólnym lekarza. Lekarz, jedynie na mocy tego przepisu, nie staje się gwarantem bezpieczeństwa osoby wymagającej udzielenia jej pomocy medycznej.

Jeżeli źródłem obowiązku lekarza udzielenia pomocy medycznej jest tylko art. 30 powoływanej ustawy, to zaniechanie wykonania obowiązku rodzi, jak już wspomniano albo tylko odpowiedzialność zawodową, albo obok odpowiedzialności zawodowej, jeżeli spełnione są warunki określone w art. 162 *k.k.*, także odpowiedzialność karną przewidzianą w tym przepisie.

Zgodnie z art. 162 *k.k.* odpowiedzialności karnej podlega ten, „*kto człowiekowi znajdującemu się w położeniu grożącym bezpośrednim niebezpieczeństwem utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu nie udziela pomocy, mogąc jej udzielić bez narażenia siebie lub innej osoby na niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu*”. Norma kodeksu karnego w sposób wyraźny wskazuje, że obowiązek prawny udzielenia pomocy kończy się, gdy świadczenie pomocy narażałoby niosącego pomoc lub inną osobę na niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Zasada ta odnosi się do wszystkich sprawców nieudzielania pomocy, a więc także do lekarzy. Lekarz, który nie jest gwarantem bezpieczeństwa osoby zagrożonej, może więc zgodnie z normą sankcjonowaną wynikającą z art. 162 *k.k.* poświęcić dobro osoby zagrożonej dla ratowania własnego życia lub zdrowia przed narażeniem na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Problem polega na tym, że art. 30 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentystry nie przewiduje takiego ograniczenia obowiązku udzielenia pomocy. Lekarz, który zaniecha udzielenia pomocy ze względu na uzasadnioną obawę narażenia swojego życia lub zdrowia na bezpośrednie niebezpieczeństwo, może być pociągnięty do odpowiedzialności zawodowej. Nie należy tak ukształtowanego stanu prawnego uznawać za pozbawiony potrzebnej spójności. Prawo karne jest najbardziej radykalnym instrumentem służącym ochronie wartości. Musi więc być stosowane z dużym umiarem. Prawo karne nie może w zasadzie wymagać bohaterstwa. Norma zawodowa, a tym bardziej norma etyczna (art. 7 *KEL*) mogą stawiać wyższe wymagania. Można mieć jednak wątpliwość, czy akurat w tym wypadku regulacja zawarta w art. 30 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentystry nie idzie w swoich wymaganiach zbyt daleko.

Sytuacja zmienia się zasadniczo, jeżeli źródłem obowiązku udzielenia pomocy lekarskiej jest nie tylko art. 30 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentystry, ale także norma konkretna i indywidualna w postaci umowy, mianowania lub powołania do służby. W wyniku obowiązywania takiej normy lekarz, będący jej adresatem, staje się gwarantem bezpieczeństwa pacjenta. Zaniechanie wykonania obowiązku udzielenia pomocy lekarskiej pociąga za sobą odpowie-

działność za ewentualnie powstały skutek (art. 2 **k.k.**). Nieudzielenie pomocy pacjentowi, któremu grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo utraty życia lub poważnego uszczerbku na zdrowiu, nie prowadzi do odpowiedzialności lekarza z art. 162 **k.k.**, tylko za przestępstwo przeciwko życiu i zdrowiu w zależności od powstałego skutku (art. 160 § 2, art. 155, 156 § 2, 157 § 3 **k.k.**). Nie działa więc też w tym wypadku ograniczenie karalności przewidziane w art. 162 § 1 **k.k.** w sytuacji, gdy udzielenie pomocy mogłoby narazić lekarza na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub poważnego uszczerbku na zdrowiu. W sytuacji takiej lekarz ma także ograniczone możliwości powołania się na stan wyższej konieczności. Stan wyższej konieczności (art. 26 § 1 **k.k.**) usprawiedliwi zaniechanie lekarza tylko wtedy, gdy ratowane przez niego dobro będzie wyższej wartości, niż dobro poświęcane. Oznacza to, że w wypadku bezpośredniego zagrożenia życia lekarz może zaniechać ratowania zdrowia pacjenta. Uważam, że należy w tych wypadkach uwzględniać także stopień zagrożenia, tzn., jeżeli szansa lekarza na uratowanie własnego życia przy udzielaniu pomocy także ratującej życie pacjenta jest znikoma, to zaniechanie lekarza powinno być karnoprawnie usprawiedliwione. Prawo karne nie może zmuszać do samobójstwa.

Ad b. Uwarunkowanie legalności udzielenia świadczeń medycznych od zgody pacjenta nie jest pozbawione aspektów kontrowersyjnych. W przypadku braku zgody na dokonanie zabiegu, szczególnie ratującego życie, lekarz staje przed dylematem, którego rozwiązanie – zarówno w świetle norm etycznych, jak i prawnych – nie zawsze jest jednoznaczne.

W demokratycznym państwie prawnym bardzo dużą wagę przywiązuje się do prawa samostanowienia o sobie obywateli. Uznaje się, że prawo to, a raczej wolność od nacisku odnośnie do decydowania o sobie, jest podstawowym prawem człowieka. Charakterystyczne są doświadczenia związane z prawem i praktyką w państwie nazistowskim. Przyjmowano, że obowiązek poddania się leczeniu mają osoby użyteczne dla państwa. Ci, którzy już swoje obowiązki wypełnili lub ci, którzy nie byli zdolni do służenia państwu, mogli swobodnie decydować o stosowaniu wobec nich świadczeń leczniczych. W wypadku odmowy udzielenia zgody na zabieg lekarski dojść może często do konfliktu dwóch podstawowych wartości chronionych prawem: ochrony życia lub zdrowia oraz prawa do samostanowienia. Lekarz ratujący życie wbrew woli pacjenta naraża się na odpowiedzialność karną z art. 192 **k.k.** Lekarz, respektując wolę pacjenta, odstępujący od zabiegu wbrew wskazaniom lekarskim, narusza normę art. 30 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty, a jeśli jest gwarantem bezpieczeństwa pacjenta (tak będzie w omawianej sytuacji z reguły), narusza

normę chroniącą życie lub zdrowie pacjenta. Jakie jest właściwe wyjście z tej sytuacji? Często spotkać się można z argumentacją, że skoro życie jest najcenniejszym dobrem, to lekarz może zawsze (prawnik doda: z powołaniem się na stan wyższej konieczności) dokonać koniecznego zabiegu ratującego życie. Przyjęcie takiego stanowiska przekreślałoby w ogóle prawo do samostanowienia i prowadziłoby w efekcie do przymusu leczenia. Jedynie w ściśle określonych w ustawie wypadkach, lekarz może bez zgody pacjenta przeprowadzić zabieg (zob. art. 34 ust. 7 i 35 ust. 1 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty). Wypadki takie są szczegółowymi, określonymi w ustawie odmianami stanu wyższej konieczności. Norma ogólna, a więc art. 26 *k.k.*, nie ma zastosowania.

Ustawa o zawodach lekarza i lekarza dentysty reguluje wypadki tzw. zastępczej zgody, a więc zgody na zabieg udzielanej przez przedstawiciela ustawowego lub sąd opiekuńczy. Można mieć wątpliwości, czy brak zgody przedstawiciela ustawowego zawsze usprawiedliwi lekarza odstępującego od przeprowadzenia zabiegu. Chodzi w szczególności o przypadki, w których lekarz nie ma czasu na zwracanie się do sądu opiekuńczego (istotny element szczególnego stanu wyższej konieczności). Można przyjąć założenie, że przedstawiciel ustawowy, w tym także rodzic, nie może dysponować życiem reprezentowanej osoby, która sama nie jest zdolna do wyrażenia swojej woli. W takich wypadkach uważam, że lekarz ma obowiązek nie tylko etyczny, ale także prawny kierowania się, według własnej oceny, dobrem pacjenta.

Trzeba też zwrócić uwagę na to, że wymaganie zgody pacjenta jako warunku legalności zabiegu leczniczego nie służy jedynie ochronie prawa pacjenta do samostanowienia. Ten wymóg służy także lekarzowi, rozkładając odpowiedzialność za proces leczenia. Sprzyja budowie zaufania pomiędzy pacjentem i lekarzem. Pacjent w procesie leczenia traktowany jest podmiotowo, a nie wyłącznie jako obiekt oddziaływania lekarza. Lekarz w systemie wymagającym zgody pacjenta dla legalności zabiegu nie jest działającym w interesie ogółu inżynierem od spraw zdrowia, lecz przede wszystkim rzecznikiem dobra pacjenta.

Ad c. Norma prawna ma charakter generalny i abstrakcyjny. Określa nakaz albo zakaz postępowania w sytuacji typowej, nawet jeżeli jest normą odnoszącą się do sytuacji nadzwyczajnych, typowo nadzwyczajnych. Lekarz ma do czynienia z konkretnym przypadkiem, który obok cech pozwalających na zakwalifikowanie do określonego typu i subsumcji pod określony przepis prawny, charakteryzuje się wieloma cechami indywidualizującymi, nieuwzględnionymi w normie prawnej. Abstrakcyjność normy prawnej stwarza zawsze lekarzowi

pewien luz decyzyjny. W ramach tego luzu decydującym kryterium postępowania jest pozostawanie w zgodności z własnym sumieniem, z przyrodzoną każdemu człowiekowi zdolnością odróżniania dobra od zła. W sytuacji luzu decyzyjnego lekarz kierujący się nakazami albo zakazami sumienia nie pozostaje w konflikcie z dyspozycją normy prawnej. Norma niejako sama przez brak konkretyzacji nakazu albo zakazu odwołuje się do kryterium sumienia lekarza. W omawianym punkcie chodzić będzie o sytuację inną, w której dochodzi do konfliktu pomiędzy nakazem albo zakazem zawartym w normie prawnej a sumieniem lekarza. Chodzić będzie o przypadek, w którym prawo nakazuje lekarzowi podjęcie określonych działań, których wykonanie sprzeciwia się zakazowi sumienia.

Ustawa o zawodach lekarza i lekarza dentysty w art. 39 ustanawia tzw. klauzulę sumienia, stanowiąc: *„Lekarz może powstrzymać się od wykonania świadczeń zdrowotnych niezgodnych z jego sumieniem, z zastrzeżeniem art. 30, z tym, że ma obowiązek wskazać realne możliwości uzyskania tego świadczenia u innego lekarza lub w innym zakładzie opieki zdrowotnej oraz uzasadnić i odnotować ten fakt w dokumentacji medycznej. Lekarz wykonujący swój zawód na podstawie stosunku pracy lub w ramach służby ma ponadto obowiązek uprzedniego powiadomienia na piśmie przełożonego”*. Powołana norma prawa stanowionego znajduje swój odpowiednik w art. 4 **KEL**. Regulacja ta nie jest pozbawiona elementów kontrowersyjnych.

Z art. 39 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty wynika, że lekarz nie może powołać się na klauzulę sumienia i odmówić udzielenia pomocy lekarskiej w warunkach zachodzenia przesłanek określonych w art. 30 tej ustawy, tzn. jeżeli *„zwłoka w jej udzieleniu mogłaby spowodować niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia, oraz w innych przypadkach niecierpiących zwłoki”*. Zawężenie działania klauzuli sumienia wydaje się stanowczo zbyt daleko idące.

Niemożność powołania się na klauzulę sumienia może być zasadne, gdy potrzebującemu pomocy, w przypadku zwłoki, grozić może niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, ale nie jest już zasadne w wypadku *„innego przypadku niecierpiącego zwłoki”*. Tak ogólnie ujęte sformułowanie może w praktyce całkowicie przekreślić znaczenie klauzuli sumienia. Wydaje się również, że może dojść w tym przypadku do naruszenia konstytucyjnej zasady proporcjonalności. Także art. 18 ust. 2 **Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych** zabrania nakazywania działań sprzeciwiających się sumieniu człowieka. W sytuacji zagrożenia życia lub niebezpieczeństwa ciężkiego uszczerbku na zdrowiu zasadne jest przyjęcie, że zagrożone dobra muszą w hierarchii wyprzedzać indywidualną wolność lekarza przed przymusem

podjęcia działań sprzecznych z jego sumieniem. Myślę, że nawet konieczne byłoby zastrzeżenie, że chodzi o bezpośrednie zagrożenie tych dóbr, a nie tylko, jak to określa art. 30, możliwość zagrożenia. Poza taką sytuacją musi być silniej chroniona wolność sumienia przed przymusem do działań sprzecznych z sumieniem. We wskazanym zakresie powinno dojść do zmiany art. 39 ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty poprzez zawężenie zastrzeżenia odnoszącego się do art. 30 tej ustawy jedynie do przypadku, gdy zwłoka w udzieleniu pomocy lekarskiej grozi bezpośrednim niebezpieczeństwem dla życia lub bezpośrednim niebezpieczeństwem ciężkiego uszczerbku na zdrowiu.

W przypadku, gdy powodem odmowy jest niezgodność udzielenia świadczenia zdrowotnego z sumieniem lekarza, lekarz wykonujący zawód poza stosunkiem pracy albo służby musi pacjentowi wskazać realne możliwości uzyskania świadczenia u innego lekarza lub w zakładzie opieki zdrowotnej, odnotowując i uzasadniając ten fakt w dokumentacji medycznej. Lekarz pozostający w stosunku pracy lub służby ma ponadto obowiązek uprzedniego powiadomienia na piśmie przełożonego. Można mieć wątpliwości odnośnie do interpretacji pojęcia „*uprzedniego powiadomienia*”. W jakim czasie lekarz zobowiązany jest do złożenia przełożonemu takiego oświadczenia. Czy oświadczenie takie ma mieć charakter generalny niejako *z góry* stwierdzający, że lekarz określonych świadczeń zdrowotnych wykonywać nie będzie, czy też ma być to oświadczenie związane z wykonaniem świadczenia wobec konkretnego pacjenta? Odpowiedź na to pytanie nie jest oczywista. Użycie w pierwszym zdaniu art. 39 liczby mnogiej (*powstrzymanie się od wykonania świadczeń zdrowotnych*) wskazuje na generalny charakter oświadczenia lekarza. Obowiązek wskazania realnych możliwości uzyskania tego świadczenia (liczba pojedyncza) wskazuje, że przepis dotyczy postępowania lekarza odnośnie do konkretnego pacjenta. Wydaje się więc, że ustawodawca nie jest w tym wypadku konsekwentny i przepis powinien ulec zmianie.

Ad d. Zaniechanie udzielenia pomocy lekarskiej osobie bezzwłocznie pomocy takiej potrzebującej może wynikać z konieczności udzielenia w tym samym czasie pomocy innej osobie. Kolizja obowiązków uregulowana została w art. 26 § 5 **k.k.** Z kolizją obowiązków lekarz ma do czynienia wtedy, gdy ciąży na nim do wykonania w tym samym czasie przynajmniej dwa obowiązki, które nie mogą być jednocześnie wykonane. Wykonanie jednego powoduje naruszenie nakazu wykonania pozostałego obowiązku. Mamy więc do czynienia z zaniechaniem wykonania obowiązku. Ustawa nakazuje stosowanie w wypadku kolizji obowiązków odpowiednio przepisów o stanie wyższej konieczności (art. 26 § 1-3 **k.k.**). Nakaz odpowiedniego stosowania przepisów o stanie

wyższej konieczności należy rozumieć w ten sposób, że decyzja o tym, który obowiązek ma być wykonany, powinna uwzględniać poza wartościami kolidujących dóbr także inne czynniki, jak np. szansę uratowania dobra. Jeżeli lekarz ma ratować życie dwóch ciężko rannych w wypadku, którym brak natychmiastowej pomocy zagraża utratą życia w takim samym stopniu, a może to uczynić tylko w stosunku do jednego poszkodowanego, to lekarz powinien udzielić pomocy tej osobie, której szanse na przeżycie są większe. To samo może dotyczyć stosowania aparatury utrzymującej życie, gdy nie można jej stosować do wszystkich potrzebujących tego pacjentów. Kierowanie się szansą uratowania życia prowadzi, pomimo równej wartości kolidujących ze sobą dóbr, do usprawiedliwienia zaniechania ratowania jednego z dóbr chronionych prawem i wyłączenia bezprawności takiego zaniechania. Jest zupełnie oczywiste, że dyrektywa postępowania zawarta w art. 26 § 5 *k.k.* jest bardzo ogólna i abstrakcyjna. Nie uwzględnia wielu cech indywidualizujących sytuację i wskazujących lekarzowi kierunek postępowania. W tym wypadku szczególnie wyraźnie na plan pierwszy wysuwa się sumienie lekarza jako ten instrument, który wskazuje lekarzowi sposób dokonania wyboru, który z obowiązków ma wykonać w pierwszej kolejności, zaś wykonanie którego obowiązku ma w danym czasie zaniechać. Prawo jest w takich wypadkach instrumentem zbyt mało precyzyjnym, by móc dostarczyć lekarzowi właściwą dyrektywę postępowania.

Z problemem kolizji obowiązków łączą się w pewnym stopniu sytuacje, w których zachodzi kolizja pomiędzy obowiązkiem udzielenia pomocy lekarskiej konkretnej osobie, której życie lub zdrowie jest bezpośrednio zagrożone, a obowiązkiem zabezpieczenia opieki lekarskiej potencjalnym jeszcze nieokreślonym z imienia i nazwiska pacjentom. Parę miesięcy temu byłem sam świadkiem sytuacji, gdy do jednej z klinik kardiologicznych przywieziono czterdziestoletniego pacjenta ze świeżym zawałem. Dla ratowania jego zdrowia, a nawet i życia konieczne było przeprowadzenie plastyki naczyń wieńcowych. Okazało się jednak, że pacjent ten, który zasłabł zaraz po przylocie z Londynu, ma objawy nasuwające poważne podejrzenie o tzw. świńską grypę. Przeprowadzenie zabiegu kardiologicznego prowadziłoby do konieczności wyłączenia sali zabiegowej i aparatury na kilka dni z powodu konieczności przeprowadzenia dezynfekcji. Uniemożliwiłoby to przeprowadzenie codziennych zabiegów kardiologicznych, także tych ratujących życie. Jaką decyzję ma podjąć lekarz, który jest gwarantem bezpieczeństwa pacjenta? Czy podjęta decyzja o zaniechaniu przeprowadzenia angioplastyki i leczenie pacjenta dawnymi metodami, z koniecznym dopuszczeniem do trwałego uszkodzenia mięśnia sercowego, może być uznana za do końca usprawiedliwioną?

Analogiczne problemy powstają przy ograniczaniu stosowania metod bardziej skutecznych, ale kosztownych z uzasadnieniem, że potrzebne są środki dla ratowania innych, także potrzebujących pomocy pacjentów. Jest to w końcu chleb powszedni dyrektorów szpitali i funkcjonariuszy **Narodowego Funduszu Zdrowia**.

Medycyna i prawo stają w obliczu tych konfliktów przed dylematami właściwie nierozwiązywalnymi. Pewną wskazówkę może dać, zdawałoby się odległy od tej problematyki, wyrok **Trybunału Konstytucyjnego** z 30 września 2008 r. (K.44/07) uznający za niezgodny z **Konstytucją** przepis **Prawa lotniczego** zezwalający na zestrzelenie samolotu pasażerskiego, gdy zachodzi wysokie prawdopodobieństwo, że samolot będzie użyty jako narzędzie ataku terrorystycznego. Trybunał uznał za niezgodne ze standardami demokratycznego państwa prawa poświęcenie niewinnego życia ludzkiego celem prawdopodobnego ratowania życia innych bliżej nieokreślonych osób. Podobną sytuację mamy w przedstawionym przeze mnie konflikcie obowiązków: ochrony życia konkretnej osoby kosztem zagrożenia takiej ochrony dla nieustalonej bliżej grupy osób. Zdaję sobie sprawę, że każde przyjęte w tych wypadkach rozwiązanie będzie uznane za kontrowersyjne. Wskazówkę daje też norma zawarta w art. 2 nieratyfikowanej jeszcze przez Polskę tzw. **Konwencji Bioetycznej** podpisanej w Oviedo 4 kwietnia 1997 r. Artykuł 2 **Konwencji** stanowi: „*interes i dobro istoty ludzkiej przeważa nad wyłącznym interesem społeczeństwa lub nauki*”. Chodzi o interes i dobro każdego indywidualnego człowieka traktowanego osobowo. Są to jednak wskazówki. Nie jestem zdolny do przedstawienia w tych sprawach normy obowiązującej.

Myślę, że ten brak wyraźnej odpowiedzi z mojej strony jest świadectwem głębokiego przekonania o granicach prawnych regulacji. Prawo musi pozostawić człowiekowi odpowiedzialnemu i etycznemu przestrzeń do podejmowania decyzji w indywidualnej, konkretnej sprawie charakteryzującej się konfliktem dóbr i interesów. Norma prawa, siłą rzeczy zawsze generalna i abstrakcyjna, nie może w takich sytuacjach zastąpić decyzji człowieka. Tym większy mój szacunek dla tych odpowiedzialnych i etycznych lekarzy, którzy na co dzień te trudne decyzje z korzyścią dla nas wszystkich, a przede wszystkim dla indywidualnych pacjentów podejmują.

JAK MOŻNA WYGRAĆ WOJNĘ W AFGANISTANIE?

Wykład inauguracyjny na Akademii Obrony Narodowej (konspekt)

ADAM KOBIERACKI

Departament Polityki Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Zagranicznych

1. Wstęp – złożoność problemu i tło polityczne

- Zadanie jest bardzo trudne, choć wykonalne, a pytanie wciąż aktualne od 8 lat. Wygrać w Afganistanie można pod warunkiem zdefiniowania pojęcia „wygranej” i „sukcesu”. Nie istnieje pojęcie „wygranej” i „zwycięstwa” w sensie klasycznym. Taktyczne zwycięstwo ISAF mogłoby jednocześnie być strategiczną porażką rządu afgańskiego (np. z powodu ofiar cywilnych). Pytanie: czy? a pytanie: jak? – w tym względzie: potrzeba ustanowienia *benchmarks* i mierników oceny postępu realizacji celu.
- Pytanie o cel: Strategia USA z marca 2009 r. przeddefiniowała cel w Afganistanie – nie jest on już tak ambitny jak wcześniej; nie jest to już budowa demokratycznego państwa, a raczej stworzenie warunków, aby Afganistan nieodwracalnie przestał być *safe haven* dla terroryzmu. **W Afganistanie nie da się zbudować zachodniej demokracji. Można i trzeba natomiast stworzyć samowystarczalne państwo, stabilne i bezpieczne** (względnie). Bezpieczeństwo i stabilność państwa afgańskiego zależy od jego relacji z: (1) sąsiadami, mocarstwami oraz podmiotami transnarodowymi (Al-Kaida, narkobiznes); (2) miejscowymi wspólnotami i warstwami społecznymi.
- Problem nie leży w nowym przepisie na sukces w Afganistanie, a raczej **w skutecznej konsekwentnej, skoordynowanej i długoterminowej implementacji pomysłów już opracowanych** (konieczna weryfikacja i możliwość korekty). **Najważniejsze jest kompleksowe cywilno-wojskowe podejście do całej sprawy.**

- Zadanie jest tym trudniejsze, gdy uświadomimy sobie wielość i często odmiennność partykularnych interesów (politycznych, narodowych) wszystkich aktorów zaangażowanych w Afganistanie – często intencje poszczególnych krajów są trudne do rozpoznania, bo pozostają one zakamuflowane w oficjalnych stanowiskach organizacji międzynarodowych.
- Obecne terytorium Afganistanu zostało wyznaczone nie przez silne państwo, które skonsolidowało kontrolę nad nim za pomocą zmobilizowanych przez siebie zasobów, ale przez sąsiednie imperia, które zgodziły się dotować to państwo, aby ustabilizować swoje granice. **Bezpieczeństwo i stabilność państwa afgańskiego wymagają strategicznego konsensusu między sąsiadami i mocarstwami, łączącego się z pomocą zagraniczną, subsydiującą państwo w taki sposób, aby wzmocnić jego legitymizację i zdolności do przetrwania.**
- Powyższe dotyczy tak krajów regionu (sąsiedzi Afganistanu), jak i koalicjantów (państw członkowskich NATO i UE). Państwa będące równoległe członkami NATO i UE przyjmują różne punkty ciężkości względem swojej obecności w Afganistanie, co wpływa na priorytetyzację zadań (np. Niemcy – przywiązanie do EUPOL, ograniczenia względem zadań wynikających z zaangażowania w ramach NATO/*caveats*). Szczególne przypadki: Pakistan, Iran, Rosja, USA.
- Dodatkowo, kraje są podporządkowane własnym kalendarzom wyborczym, wewnętrznej polityce, opinii publicznej. Determinuje to realizację złożonych deklaracji (wybory w USA; relacje Pakistan-Indie).
- Brak wewnętrznej spójności koalicjantów nie sprzyja utrzymaniu stałego poziomu woli i motywacji do działania, a tym samym nie ułatwia wypracowania i realizacji skutecznej strategii wobec Afganistanu. Wykorzystywane to jest przez przeciwników operacji.
- Może raczej należy określić skromniejszy, ale osiągalny cel obecności, sposób jego realizacji, sposób oceny postępów na tej drodze? Jak zapewnić obiektywizm takich ocen?
- *Benchmarks* – krótko- i długoterminowe cele wraz z narzędziami do ich realizacji, obejmujące przykładowo: osiągnięcie pułapów szkolenia ANSF, przygotowanie konkretnych regulacji prawnych w różnych obszarach prawa, ochronę ludności i zapewnienie spadku liczby ofiar cywilnych (we wrześniu prezydent Obama przedłożył do Kongresu USA listę celów i 46 wytycznych tworzących „mapę drogową” dla Afganistanu i Pakistanu – aktualnie dokument w przeglądzie Kongresu).

- Określenie *benchmarks* wpisuje się w tzw. „strategię wyjścia”, choć nie jest to najszcześliwsze określenie. Zawiera bowiem negatywną konotację, co powoduje, że jest pochopnie utożsamiana z „wycofaniem” (może warto zastanowić się nad lepszym określeniem – „okres przejściowy”?).
- Cykliczne mierzenie wyników w zakresie realizacji postawionych zadań powinno dotyczyć tak wspólnoty międzynarodowej zaangażowanej w Afganistanie, jak również administracji afgańskiej, która musi mieć poczucie odpowiedzialności i dyscypliny.

2. Główne obszary wsparcia determinujące „sukces” w Afganistanie

2.1. Bezpieczeństwo

- Nie ma wątpliwości, że podstawową kwestią stabilnego Afganistanu jest bezpieczeństwo. Nie jest to zadanie tylko dla wojska. Cywile muszą umieć „zagospodarowywać” militarne zwycięstwa.
- Czym jest stan bezpieczeństwa? – tym, jak odczuwają go Afgańczycy. Jeśli poczucie bezpieczeństwa zapewniają im talibowie, to należy tę tendencję odwrócić. **Należy dążyć do tego, by w umyśle zbiorowym Afgańczyków „bezpieczeństwo” powiązać z siłami ISAF i ANSF, a także z porządkiem konstytucyjnym i legalną władzą.**
- Zasoby (środki i siły) – ile? gdzie są granice zwiększania sił? Czy jest to właściwe rozwiązanie? – obecnie ponad 100 tys. sił OEF i ISAF w Afganistanie (ZSRR w szczytowym okresie zaangażowania: 150 tys. sił + dyspozycyjne jednostki reżimowe). Podwojenie sił od 2006 r. nie równa się (jak do tej pory) odzyskaniu utraconej inicjatywy – obserwuje się pogorszenie sytuacji. Stosunek sił do rebeliantów wynosi obecnie 1/5; (ok. 15-20 tys. rebeliantów/100 tys. sił OEF i ISAF). Czy dalsze zwiększenie przybliży nas do celu? (USA pod koniec 2009 r. będą mieć w Afganistanie łącznie 68 tys. wojsk w ramach OEF i ISAF + COMISAF zwrócił się do władz USA o dodatkowe zwiększenie sił o 30-40 tys. (siły bojowe + instruktorzy). Najliczniejsze kontyngenty ISAF to: USA – ok. 30 tys., Wielka Brytania – 9 tys., Niemcy – 4050, Francja – 3060; Kanada – 2800; Włochy – 2795, Polska – 2000 (+200 odwód); Holandia – 1770.
- **Siła wojskowa jest ważna, ale nie jest jedyną receptą na sukces.** Jej waga jest naturalnie zdeterminowana potrzebami poszczególnych re-

gionów. Zasady użycia siły wojskowej? Sposoby jej wykorzystania? Dyslokacja?

- W zakresie bezpieczeństwa konieczne jest dla nas **odzyskanie inicjatywy** – przede wszystkim w aspekcie wojskowym – południe kraju. **Strategia „Clear-Hold-Secure”** jest efektywna jedynie w pierwszej fazie; raz „zdobyty” teren tracimy.
- **Wzrost liczby ofiar wojsk międzynarodowych i cywilnych.** Znaczący wzrost w porównaniu do ubiegłych lat (do 20.09.2009 r. straty wyniosły 362 żołnierzy – są wyższe niż w całym 2008 r. – zginęło 294 żołnierzy). Główne przyczyny: bardziej aktywny, ale również odmienny taktycznie sposób prowadzenia działań operacyjnych; znaczący wzrost (o ok. 85% w stosunku do 2008 r.) stosowania przez rebeliantów coraz bardziej zaawansowanych technologicznie ładunków wybuchowych (IED). Łączna dotychczasowa liczba ofiar koalicji: **1409** żołnierzy; najwięcej ofiar: **USA (842), Wlk. Brytania (217), Kanada (131)**. Najwięcej ofiar jest na południu i południowym-wschodzie kraju (głównie: Helmand i Kandahar); w prowincji Ghazni dotychczas – 53 ofiary. Odnotowuje się także wzrost liczby ofiar cywilnych, w wyniku działań wojennych: 1600 (2007 r.), 2100 (2008 r.), 1013 (I poł. 2009 r.).
- Oprócz ewentualnego zwiększania międzynarodowej obecności wojskowej, warunkiem koniecznym jest rozbudowa sił ANSF (ANA i ANP). W tym względzie konieczne jest szkolenie, wyposażenie i zapewnienie zdolności funkcjonowania. Aktualne pułapy: dla **ANA – 134 tys.** do grudnia 2011 r. (zmiana terminu na październik 2010 r. w *Strategic Assessment* gen. S. McChrystala), dla **ANP – 97 tys.** (82 tys. + 15 tys. podniesienie poziomu decyzją JCMB – 06.2009 r.). W dokumencie *Strategic Assessment* gen. McChrystal postuluje przyspieszenie uzgodnionych pułapów (wspomniana już dla ANA realizacja przyjętego pułapu 134 tys. do jesieni 2010 r.), a także docelowe podwojenie pułapów ANSF, łącznie do 400 tys. (ANA – 240 tys.; ANP – 160 tys.).
- Powyższa decyzja będzie się wiązać ze wzrostem wysiłku finansowego całej wspólnoty międzynarodowej zaangażowanej w Afganistanie. Szkolenie ANSF jest jednak koniecznym warunkiem „afganizacji”, tj. przekazywania odpowiedzialności za bezpieczeństwo Afganistanu jego obywatelom.
- Potencjalnie, z powyższego wynikać może potrzeba koniecznego stopniowego przeformułowywania zaangażowania w Afganistanie w kierunku szkoleniowo-cywilnym – potrzeba zwiększania elementu szkoleniowego w kontyngentach narodowych.

- **Nie da się wygrać w Afganistanie bez Afgańczyków.** Musimy ich mieć po swojej stronie. Jest to jedna z głównych rekomendacji gen. McChrystala, który definiuje główne obszary wymagające poprawy działania jako: 1) **potrzebę zmiany w kulturze operacyjnej** – koncentracja na ochronie ludności cywilnej, mniejsze, lżejsze i bardziej mobilne oddziały; 2) **konieczność poprawy spójności działania i dowodzenia**.
- Dodatkowo, COMISAF dokonuje terytorialnej priorytetyzacji – podziału na 3 (+1) obszary: **Priorytetyzacja wysiłków ISAF**: 1) obszary wysoce zaludnione, z najwyższą zdolnością działania OMF (wys. zdolność OMF do zastraszenia ludności); 2) obszary, gdzie odnotowuje się wysoką obecność i znaczące zdolności OMF (lecz nie jest w stanie zastraszyć ludności); 3) obszary z ograniczoną obecnością OMF; oraz 4) pozostałe obszary – obecnie stabilne, z ryzykiem potencjalnego pogorszenia sytuacji w przyszłości. **W efekcie takiego podziału można spodziewać się dalszego przegrupowania i koncentracji wysiłków na grupie 1.**
- Konieczne: efektywniejsze wykorzystanie sił, ich dyslokacja. Nie wykluczony potencjalny opór ze strony sojuszników na powierzenie części decyzyjności, w tym aspekcie dowódcy ISAF (przywiązanie do polityki narodowej, ograniczenia narodowe – implikują problem koordynacji i spójności działań ISAF). Reforma struktury dowodzenia ISAF – czy to ma sens? (ostatnie zmiany – wprowadzenie tzw. „kwatery pośredniej” – ISAF Joint Command oraz utworzenie misji NTM-A decyzją NAC z 4 sierpnia 2009 r.).
- Brak atmosfery na forum Sojuszu do zwiększania sił: realne zwiększenie sił dotyczy tylko USA. W tym przypadku również implikuje to polityka wewnętrzna (Irak – wojna Busha; Afganistan – wojna Obamy: konieczny sukces na tym polu w najbliższym roku lub brak szans na reelekcję w 2012 r.). Sojusznicy zapowiadają wycofanie wojsk z Afganistanu: Kanada, decyzja z marca 2008 r., wycofa wojska do końca 2011 r. (Kandahar), a Holandia w 2010 r. (Uruzgan). Kto ich zastąpi?
- Problem narkotyków: uregulowanie handlu opium, legalizacja upraw maku na potrzeby medyczne (*Senlis Council* – propozycja z 2005 r.). Ostatnio areal upraw zmalał o 22%, a produkcja opium o 10% (ostatni raport Biura NZ ds. Narkotyków i Przestępczości/UNODC). Może to jednak wynikać ze znaczącego spadku (o 50%) cen narkotyków. Według innych źródeł powodują to zgromadzone znaczące zapasy w oczekiwaniu

na podwyżkę cen, co przekłada się na brak zapotrzebowania na dalszą produkcję.

- Narkotyki – problem dla Rosji (Azja Środkowa). Czy problem dotyczy tylko południa Afganistanu? (50% światowej produkcji – koncentracja w prowincji Helmand). W rzeczywistości jednak problem ten dotyczy także rejonu północno-wschodniego, gdzie warunki dla upraw maku są najkorzystniejsze w porównaniu z pustynnym południem.

2.2. Budowa zdolności administracji afgańskiej – sprawne funkcjonowanie instytucji i mechanizmów państwowych w oparciu o zasady praworządności

- Konieczna budowa zaufania Afgańczyków do mechanizmów regulujących rządy – ważniejsze niż zaufanie do konkretnych polityków czy opcji politycznych. Jest to szczególnie ważne w społeczeństwie tak silnie zróżnicowanym tożsamościowo; walka z korupcją jako kluczowy element budowy zaufania.
- Wybory – 20.08.2009 r. pokazują, że jesteśmy na samym początku tej drogi; niska frekwencja – 38% (w tym tylko 10% wśród Pasztunów stanowiących ok. 40% społeczeństwa); niepoprawności wyborcze, korupcja. Wnioski z tych wyborów są konieczne ze względu na wybory parlamentarne w 2010 r., **Wyniki wyborów podane przez Niezależną Komisję Wyborczą (16.09.2009 r.):** H. Karzaj: 54,60%; Abdullah Abdullah: 27,80%; Ramazan Bashardost: 9,20%. Ponad 2800 skarg (w tym 726 poważnych, tj. mogących wpłynąć na wynik wyborczy) skierowano do Komisji ds. Skarg Wyborczych. Oficjalne wyniki zostaną ogłoszone po rozpatrzeniu wszystkich skarg – najwcześniej pod koniec października 2009 r. **Zbyt mało uwagi dla wyborów do Rad Prowincji, które pozostają w cieniu wyborów prezydenckich, a w gruncie rzeczy są równie ważne, szczególnie uwzględniając przyjęty w Afganistanie wzór ładu społecznego – jest to wzór władzy plemiennej.**
- Głosowanie, oprócz procesu wyborczego, było jednocześnie plebiscytem – demonstracją stosunku społeczeństwa do kierunku zmian w kraju po 2001 r. W przypadku wygranej prezydenta H. Karzaja w I turze, wystąpi poważny problem z legitymizacją władzy – oznaczać to będzie dalszy spadek zaufania i poparcia dla władz w Kabulu, a tym samym także dla koalicji międzynarodowej. Po ostatecznym ogłoszeniu wyników potrzebny będzie szybko rząd oparty na szerokim porozumieniu głównych sił politycznych.

- Konferencja międzynarodowa (inicjatywa zgłoszona przez Wielką Brytanię, Niemcy i Francję). Konferencja ma się odbyć do końca 2009 r.. Ma opierać się na dokonaniach konferencji z Bonn, Londynie, Paryżu i Hadze, a także stanowić przedłużenie dyskusji nt. przeglądu strategicznego operacji ISAF w Afganistanie. Jej celem jest nadanie ram dla działań i postępów realizowanych przez przyszły rząd afgański, jak również przekazanie mu dodatkowej odpowiedzialności w dziedzinie bezpieczeństwa i rozwoju, co ma pozwolić na stopniowe zmniejszanie obecności międzynarodowej w Afganistanie – **musi wyjść od niej bardzo silny i zdecydowany sygnał do władz afgańskich z wyraźnym określeniem zadań wynikających dla nowego rządu**; cierpliwość wspólnoty międzynarodowej się kończy; konieczność zmobilizowaniu nowych władz afgańskich przy jednoczesnym potwierdzeniu zaangażowania sojuszników.
- W tym względzie: potrzeba kontynuacji pomocy rozwojowej (PRT i pomoc bilateralna) i związana z tym pomoc w przeformułowaniu kierunków rozwoju gospodarki afgańskiej – długofalowe wsparcie dla rolnictwa w celu eliminacji narkobiznesu i stworzenia zdolności rozwoju zrównoważonej gospodarki afgańskiej.

2.3. Wsparcie dla Afganistanu na forum międzynarodowym

- Wsparcie w ponownym odnalezieniu swej roli na forum międzynarodowym (w tym aspekt regionalny). Cel: Afganistan zdolny do wypełniania zobowiązań wynikających z faktu bycia pełnoprawnym i odpowiedzialnym członkiem wspólnoty międzynarodowej.

3. Inne problemy do których można się odnieść

1. Proces rekuncyliacji (pojednanie narodowe) – tak, należy rozmawiać z umiarkowanymi talibami; działania te muszą mieć jednak „twarz afgańską”.
2. Pakistan – niemożliwe ustabilizowanie sytuacji bez jego udziału oraz bez uregulowania relacji Afganistan-Pakistan (granica państwowa).
3. Strategia gen. McChrystala – nie jest niczym nowym, w prowincji Ghazni od dawna realizujemy zadania spójne z tym dokumentem.

4. Podsumowanie

- Aby wygrać, trzeba radykalnie zmienić filozofię zaangażowania międzynarodowego w Afganistanie. To nie może być karna ekspedycja.
- Jeśli chodzi o wojskowe aspekty międzynarodowego zaangażowania w Afganistanie, to trzeba pamiętać o trzech jego wymiarach:
 1. Amerykanie są zaangażowani „podwójnie”: w ramach OEF ścigają terrorystów, w ramach ISAF – stabilizację Afganistanu;
 2. . Kiedy NATO przejęło dowodzenie ISAF (2003 r.), operacja – bardziej bojowa niż to początkowo planowano;
 3. Obecność wojskowa USA-NATO o bardziej stałym charakterze plus amerykańsko–afgańskie partnerstwo strategiczne wzbudziły w Rosji, Iranie, Chinach, Indiach i Pakistanie podejrzenie, że USA używają sprawy terroryzmu jako pretekstu do utrzymywania baz w Azji (dostęp do ropy i gazu, Iran).
- **Afganistan stoi wobec następującej alternatywy strategicznej, która ma fundamentalne znaczenie dla perspektyw „wygrania wojny w Afganistanie”:**
 1. Może wzmocnić partnerstwo strategiczne z USA (mało realne wobec polityki prezydenta Obamy);
 2. Może powrócić do historycznej polityki *bi-tarafi* (bezstronności) – ogłaszając, że szuka strategicznych partnerstw z każdym zainteresowanym państwem, w tym z Iranem, Pakistanem, Chinami, Rosją i Indiami oraz zagwarantować, że nie będzie dla nich zagrożeniem.
- Ta druga opcja wymagałaby w miarę szybkiego (5-6 lat) ograniczenia międzynarodowej obecności wojskowej w Afganistanie, i pogodzenia się z nią wielkich mocarstw.

EGZAMINOWANIE – TEORIA I PRAKTYKA

Wykład inauguracyjny na Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej

KRZYSZTOF KONARZEWSKI

Centralna Komisja Egzaminacyjna

Ekspert powie: **pomiar osiągnięć**. W szkole tak się nie mówi. Nauczyciel **ocenia** wiedzę ucznia lub prościej – ucznia. Kiedy ocenianie przebiega w formie szczególnej: rozbudowanej i uroczystej – nazywa się je **egzaminowaniem**.

Pomiar to chłodny termin techniczny – przyporządkowanie obiektom liczb w taki sposób, by matematyczne relacje między liczbami odpowiadały empirycznej relacji między obiektami. Mierzymy na przykład twardość minerałów, przypisując im takie liczby, że minerał mający większą liczbę zarysowuje minerał mający mniejszą liczbę.

Egzaminowanie to termin gorący. Kryje się w nim zawsze intencja krytyczna – domniemanie nieznanowości jakichś faktów, nieopanowania jakichś umiejętności, braku bystrości. „Hic Rhodus, hic salta” – słyszy w bajce Ezopa zapaśnik, który chęłpi się, że przeskoczył rzekę. Niejeden nauczyciel zaprotęstuje: „Dobry egzaminator stara się ujawnić nie tylko słabe, lecz także mocne strony ucznia”. Ale uczeń wie swoje: gdyby nauczyciel był przekonany, że uczeń opanował wiedzę, nie poddawałby go specjalnym próbom. Skoro go jednak poddaje, to musi mieć wątpliwości. Egzaminator czasem je skrywa pod pozornie neutralnym: „Zaraz zobaczymy, na co cię stać”, czasem wyraża całkiem jawnie: „Zaraz ci udowodnię, że nie umiesz, zostaniesz zdemaskowany”.

Najstarszym egzaminem jest niewątpliwie próba opisana w III rozdziale *Genesis*. Sam Jahwe poddaje próbie naszych prarodziców. W roli egzaminatora występuje wąż. Narzędziem jest najprostszy test wyboru. Składa się z jednego pytania: „Czy zjeść jabłko?” i dwóch możliwych odpowiedzi: „A. Tak, B. Nie”. Egzaminu poprawkowego nie przewidziano. Jak wiadomo, Adam i Ewa oblałi ten test. Może dlatego my wszyscy, ich potomkowie, jesteśmy poddawani nieustannym egzaminom.

W większości **społeczeństw pierwotnych** istniał egzamin w postaci obyczajów inicjacji lub rytuałów przejścia. Młody człowiek musiał udowodnić, że zasługuje na miano dorosłego i przywileje związane z tym statusem. Musiał przeżyć samotnie w ostępach leśnych przez kilka lub kilkanaście tygodni, znieść bez jęku nieraz okrutne próby wytrzymałości, przełknąć upokorzenia. Dzisiejsze ślady tych prastarych obyczajów to otrzęsiny w organizacjach oświatowych i „fala” w wojsku.

Warto zastanowić się nad sensem tych obyczajów. Socjolog widzi w nich przezwyciężenie lub ograniczenie porządku społecznego opartego na **statusie przypisanym**, czyli tych cechach, które dziecko nabywa wraz z urodzeniem i o których samo nie może decydować. Nikt nas nie pyta, czy chcemy być dziewczynkami, czy chłopcami. Nikt nas nie pyta, czy za rodziców chcemy mieć bogaczy, czy biedaków („Taki mały, a już Rotszyld!” – mówi w anegdocie Żyd na widok niemowlęcia, które przyszło na świat w tej bogatej rodzinie). To są nasze statusy przypisane – ja jestem brzydkim synem sprzątaczkii wychowywanym bez ojca, ty jesteś piękną córką aktorki i malarza żyjącą w willi wraz z kochającymi się rodzicami. W porządku opartym na przypisanym statusie los dziecka jest określony przez cechy nabyte bez udziału jego woli. Chłopiec idzie do szkoły uczyć się retoryki, dziewczynka zostaje w domu i jest przyuczana do prowadzenia gospodarstwa domowego. Dziecko szlachcica zostaje szlachcicem, dziecko chłopca – chłopem. W społeczeństwach stanowych pilnowano, by nikt nie sięgał po status niezgodny z urodzeniem. Przykład – *Liber chororum* Waleriana Nekandy Trepki, spis osób i rodzin z Sandomierszczyzny o wątpliwym szlacheństwie z lat 1624-1639.

Obyczaje inicjacji i rytuały przejścia wprowadzają ruch w stojącej wodzie społeczeństwa kastowego czy stanowego. Syn wodza, który załamał się podczas inicjacji, nie zostanie wodzem. Status przypisany wchodzi w konflikt ze **statusem osiągniętym** przez jednostkę dzięki jej odwadze, wytrwałości, pracowitości, pomysłowości.

To samo można powiedzieć o **egzaminach szkolnych**. Jest to wynalazek społeczny mający zastąpić tradycyjne sposoby stratyfikacji (np. dziedziczenie pozycji rodziców), które wyparła industrializacja. Egzaminowanie to nowe narzędzie selekcji społecznej, reprodukcji i akredytacji. Potocznie uważa się, że egzaminowanie było dodatkiem do edukacji, ale są dobre powody, by sądzić, że jest odwrotnie. Emile Durkheim dowodzi, że powstanie sformalizowanych egzaminów było głównym czynnikiem narodzin rozwiniętych systemów edukacyjnych.

Egzaminowanie szkolne ma długą historię. W Chinach egzaminuje się uczniów od 2000 lat. Europejskie egzaminy zawdzięczamy jezuitom. To oni wymyślili oceny w formie stopni 1-6 i wprowadzili konkursowe egzaminy końcowe. Ideologia towarzysząca upowszechnianiu egzaminów podkreśla ich związek ze zmianą społeczną: przewyższaniem starych podziałów klasowych i warstwowych, powstawaniem społeczeństwa mobilnego. Idealem jest **merytokracja** (Michael Young: *merit = talent + effort*) – rządy osób o najwyższych kwalifikacjach intelektualnych i moralnych, które awansowały na swoje stanowiska zgodnie z ustalonym systemem zasług. Poczesną rolę w tym systemie odgrywają egzaminy szkolne. Absolwent pruskiego gimnazjum zyskiwał właściwą szlachcie „zdolność honorową”, czyli zdolność wyrządzenia i doznania obrazy. Absolwent Oxfordu czy Cambridge stawał się dżentelmenem. Demokracja ogranicza merytokrację, ale nie przeszkadza, by sztydzić z dyplomu technikum uzupełniającego Lecha Wałęsy lub piętnować brak magisterium Aleksandra Kwaśniewskiego. Jesteśmy też świadkami wzrostu liczby pozycji zawodowych, które można zająć tylko pod warunkiem zdania specjalnego egzaminu (np. na urzędnika państwowego, adwokata). Niedawno upadł pomysł egzaminu na dziennikarza, ale pewnie powróci.

Tak jak nie ma merytokracji bez egzaminów, tak nie ma egzaminów bez egzaminatorów. Merytokracja zatem to w istocie **władza egzaminatorów**. Uczeń, który jawnie lekceważy swoją polonistkę na lekcjach, płaszczy się przed nią na ustnym egzaminie maturalnym. „Zobaczmy, czy będzie panu równie wesoło na egzaminie” – tak wykładowca przywołuje do porządku studenta. Jeszcze ważniejsi są, by tak rzec, **nadegzaminatorzy**, czyli osoby uprawnione do wydawania wiążących wytycznych zwykłym egzaminatorom – jak mają pytać, o co pytać i jak oceniać odpowiedzi. W Polsce są to konstruktorzy testów osiągnięć szkolnych używanych w obowiązkowych egzaminach zewnętrznych. Sam do nich należę. Kiedy prasa podała, że zostałem dyrektorem Centralnej Komisji Egzaminacyjnej, uroczą studentka z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w imieniu swojego rocznika złożyła mi gratulacje, ale przekreśliła nazwę stanowiska, nazywając mnie „głównym egzaminatorem kraju”. Dobrze, że nie wielkim egzaminatorem. Walter Lippmann już bez tej naiwności zauważył, że taki nadegzaminator aspiruje do miejsca w strukturze władzy, którego nie zajmował żaden intelektualista od czasu upadku teokracji.

Nadegzaminator ma **władzę nad wiedzą**: to on decyduje, jakie wiadomości i umiejętności liczą się jako wiedza mająca publiczne uznanie. Greka czy angielski? Fizyka czy socjologia? Inteligencja „akademicka” czy „emocjonalna”? Wiadomości czy umiejętności? Łatwiej to zrozumieć Anglikom niż Polakom, bo w Anglii egzaminowanie zawsze było oddzielone od kształcenia.

Nowy program kształcenia musiał zdobyć uznanie egzaminatorów (np. nie zdobyły go np. *secondary modern schools* w latach 40. – ich uczniowie nie zostali dopuszczeni do GCE).

Konsekwencją tych decyzji jest różnicowanie się prestiżu grup zawodowych nauczycieli, prestiż bowiem płynie stąd, że naucza się przedmiotu egzaminacyjnego. To dlatego do nadegzaminatora ustawia się długa kolejka lobbystów chcących wpisać swoje przedmioty kształcenia na listę obowiązkowych, a przynajmniej opcjonalnych egzaminów maturalnych. W Polsce ostatnio udało się to nauczycielom informatyki i filozofii. W przyszłym roku elitarny klub obowiązkowych przedmiotów egzaminacyjnych powiększy się o matematykę. Toczą się rozmowy o maturze z religii. Coraz częściej słychać apele, by wprowadzić do matury podstawy przedsiębiorczości.

Jak ograniczyć władzę kasty egzaminatorów? – a trzeba ją ograniczyć, bo zagraża demokratycznej formie współczesnego społeczeństwa. Chciałbym rozważyć kilka pomysłów przewijających się w dzisiejszych debatach.

- Zlikwidować system egzaminów zewnętrznych – to pomysł najbardziej radykalny. Położy to kres tyranii testów i przyniesie wielkie oszczędności, bo nasz system kosztuje rocznie ok. 200 mln zł. Ale chcieć powrotu do wewnętrznych ocen stawianych przez nauczycieli, to jakby chcieć powtórnie wejść do tej samej rzeki. Przed epoką egzaminów zewnętrznych powszechnie narzekano na arbitralność, subiektywizm i nieporównywalność ocen szkolnych. Co by się stało, gdyby po ośmiu latach egzaminowania za pomocą powszechnych testów powiedzieć nauczycielom: „Wszystko w waszych rękach”? Czy ocenialiby osiągnięcia uczniów mniej subiektywnie niż kiedyś? Czy ich oceny cieszyłyby się większym uznaniem wśród uczniów, rodziców i opinii społecznej?

A co z uczciwością? Stara matura słusznie uchodziła za trening demoralizacji, ponieważ nauczyciele masowo „pomagali” uczniom zdać ten egzamin. Zdarzało się też, choć znacznie rzadziej, że stronnictwo obniżało oceny niektórym uczniom – nielubianym lub nauczanych przez nielubianego kolegę po fachu. Nowa matura nie ma tej wady – jest bezstronna. Każdy uczeń pracuje nad tymi samymi zadaniami, a jego odpowiedzi są oceniane przez nieznaną go egzaminatorów według jednolitych zasad. Wielką w tym zasługą ustalonego klucza punktowania odpowiedzi, niesłusznie ogłoszonego zakazem naszych egzaminów.

- Uchylić przepis ustawy o systemie oświaty, który stanowi, że wynik egzaminu jest ostateczny i niezaskarżalny. Bezapelacyjność ocen szkolnych

uchodzi za rzecz szkodliwą. W Anglii zaleca się, by nauczyciel dyskutował z uczniem zarówno tradycyjne oceny, jak i wpisy do rejestru osiągnięć. Podobnie dzieje się w Polsce – coraz częściej uczniowi wolno podjąć dyskusję z nauczycielem na temat jego oceny wypowiedzi, wypracowania, projektu. Jak jednak zrealizować ten pomysł w powszechnych egzaminach zewnętrznych? Tegoroczną maturę zdawało 450 tys. osób. Jeśli tylko co dziesiąta chciałaby podjąć dyskusję z egzaminatorem, wyniki mielibyśmy po roku. Jak zresztą zorganizować taką dyskusję, skoro egzaminator może mieszkać i pracować daleko od siedziby okręgowej komisji egzaminacyjnej?

- Udoskonalić testy, tak by wynik wiarygodnie informował o dyspozycjach ucznia i – po agregacji – o dyspozycjach różnych zbiorowości uczniów, zwłaszcza oddziału klasowego i szkoły. W języku technicznym nazywa się to rzetelnością. Rzetelność testu to tyle co powtarzalność wyniku. Waga łazienkowa jest rzetelna, jeśli wchodząc na nią kilka razy z rzędu, dostaję takie same lub prawie takie same wyniki. Wtedy mam pewność, że waga mówi coś o mnie, a nie o różnych przypadkowych okolicznościach, np. zmiennym tarciu jej kółek i sprężyn. Związek między władzą egzaminatora a rzetelnością narzędzi egzaminacyjnych jest oczywisty: im rzetelniejsze testy, tym mniejsza władza. Egzaminator jest panem, gdy tworzy test lub punktuje odpowiedzi według własnego widzimisię. Jeśli jest związany żelazną normą poprawności psychometrycznej, jego władza kurczy się do biegłości technicznej.

Z tym pomysłem wiąże więc największe nadzieje. Gorący egzamin zastąpić chłodnym pomiarem. I zaufać zaawansowanej technologii, bo nic lepszego nie widać na horyzoncie.

SPÓR O DOBRO I PIĘKNO SPORTU

Wykład inauguracyjny na Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie

JÓZEF LIPIEC

Uniwersytet Jagielloński

Kalokagatia

Przywiązani do greckiej tradycji, odwołujemy się do słynnej, platońskiej kategorii *kalokagatii*, która skupia w sobie najwyższe dobro, najwyższe piękno i na dokładkę najwyższą, lub też jedyną prawdę. Model ten pozwolił później na stworzenie w średniowieczu idei aksjologicznego Absolutu, który pomimo troistości heteronomicznych składników (czyli dobra, piękna i prawdy właśnie), wyposażony został w jeszcze jedną właściwość, mianowicie w jedność (*unum*), rozstrzygającą o jakiejś integralnej jednolitości, przenikalności wzajemnej i wewnętrznej harmonii boskiego Ideału. Rzecz ciekawa, ale do dziś wielu domorosłych amatorów filozofii wartości posługuje się tym schematem, tak, jakby wyczerpywał on całe bogactwo i powikłania wewnętrzne aksjofery.

Interesującym problemem teoretycznym pozostała natomiast kwestia wzajemnej zależności owych składowych. Starożytni Grecy zdawali się mniemać, iż pierwotne jest piękno, dobro zaś odeń pochodne (to co dobre definiowane jest przez piękne). Myśl chrześcijańska przeciwnie – jeśli w ogóle przyznawała rangę pięknu, to tylko jako emanacji dobra (to tylko może być piękne, co jest dobre). Trzeci współuczestnik klasycznej triady, czyli prawda, w każdym przypadku stała gdzieś na uboczu tych rozstrzygnięć (w dalszych rozważaniach możemy ją więc pominąć).

Kwestie teoretyczne nabierają bardziej intensywnego kolorytu, kiedy przełożyć je na język pojęć i gestów bezpośrednio związanych z praktyką. O co chodzi z tym dobrem i pięknem w perspektywie doświadczeń codzienności? Otóż, „dobro” obejmuje całą, rozległą sferę etyczności, czyli ogół wartości, wzorców, powinności, norm, nakazów i zakazów określających przymioty

moralne człowieka. Dobro to nie jest dobry samochód, dobra książka, muzyk i film, dobry obiad, dobra pogoda, dobry wynik na 100 metrów lub dobry start w rozgrywkach ligi mistrzów, czy też dobry nastrój z powodu dobrze zdanego egzaminu (niestety język jest w tym względzie mało precyzyjny). Dobro mieści się najogólniej rzecz biorąc w tym, co określa dobrego człowieka, a więc sprawiedliwego, szlachetnego, rzetelnego, przyjaznego, życzliwego, pomocnego, otwartego, dotrzymującego słowa, odważnego, wytrwałego, cierpliwego, pracowitego, skromnego, gotowego do poświęceń dla innych, przedkładającego pomyślność ogółu nad własne interesy. Dobro to kumulacja wszelkich cnót etycznych, ale zarazem, uznanie każdej z nich za godną tego określenia reprezentantki ogólnego ideału. Ćwiczyć się w dobru to tyle, co podnosić swój lub innych poziom etyczny. Utrwalać i rozszerzać dobro to przekształcać świat na taki, w którym ludziom żyje się z innymi bezpieczniej, swobodniej, spokojniej i radośniej.

Podobne wyjaśnienie należy się kategorii „piękna”. Sfera piękna obejmuje przede wszystkim obszar wszelkiej estetyczności, a więc w szczególności tradycyjnie pojętą treść urody zmysłowo danej (zwłaszcza wizualnej), tyleż naturalnej, co przygotowanej specjalnie przez sztukę. Poszerzając odpowiednio przedmiotowy sens piękna człowieka – zarówno w duchu antyku, jak i w wersji jak najbardziej współczesnej – dołączymy tutaj dziedzinę sprawności, siły i efektywności ruchu, niezwykłości i oryginalności akcji, gracji, wdzięku i pomysłowości kreacyjnej, a także wszelkich właściwości dramaturgicznych, pozwalających uchwycić rzeczywistość samą oraz jej intencjonalne przetworzenia w swoistych formach – od wzniosłości po komizm.

Człowiek dobry wydaje się stosunkowo trudno rozpoznawalny. Jest taki, z jakim przychodzi nam żyć, i to w różnych sytuacjach i w zmiennych kolejach losu. Dobro poznajemy zazwyczaj w chwilach próby, czasem najwyższej. Dochodząc do dobra, musimy brać pod uwagę potęgę złudzeń. Dobro mieści się bowiem często na obszarze poznawczych pomyłek i rozczarowań.

Człowiek piękny przedstawia się nam z reguły wprost, bezpośrednio, w oglądzie zmysłowym (zwykle w tak zwanym „pierwszym wejrzeniu”, charakterystycznym nie tylko dla erotyki). Piękno jest takim, jakim je widzimy („koń jaki jest każdy widzi” wedle słynnej definicji Benedykta Chmielowskiego), choć i tutaj chyba lepiej poczekać na odpowiednią okazję; poddając człowieka odpowiednim próbom (dopiero wtedy wyjdzie na jaw, czy jest zwinny, gibki, szybki i silny, czy też zatrzymuje się wyłącznie na szczyblu piękna statycznego, potencjalnego li tylko). Przecież tylko wówczas – w akcji, w czynie, w ruchu, możemy wydać wiarygodną i pełną opinię o jego estetycznych zaletach. Podziwiamy dyskobola wyrzeźbionego przez Myrona, ale i tak czekamy

na wykonanie realnego lub przynajmniej wyobrażonego rzutu. Okrzyk zachwytu rezerwujemy dla ruchu mistrzowskiego, lekceważenie lub śmiech dla wyniku słabego (tym samym odartego z iluzji piękna tylko udawanego).

Estetyczny, etyczny i integralny model kultury

W ten sposób wyłania się pierwszy i naczelny dla dziejów kultury problem, mianowicie wyboru strategii antropologicznej. Dotyczy to, oczywiście, także tych obszarów kultury, które przybrały mniej lub bardziej trafną nazwę „kultury fizycznej”. Dziedzina sportu wydaje się zaś szczególnie dogodnym terenem obserwacji, analiz i uogólnień.

Modele są w istocie trzy. Pierwszy, o dominancie estetycznej, głosi, że człowieczeństwo skupia się w cechach wyznaczonych przez sprawność, przemoc i powab. Przymioty etyczne zostają zepchnięte na daleki plan lub wyrugowane zupełnie, zastępowane w praktyce społecznej przez rutynowy obyczaj plemiennie-religijny, z przymusem sakralizowanej władzy, utrzymującej ład i jedność zamkniętej w sobie gromady (zwykle nieprzyjaznej innym i restryktywnej wobec własnych członków). Piękno przeradza się zwykle w strojność, przepych i blichtr krzykliwego gigantyzmu. Szczyty hierarchii wartości zajmują osobnicy o wyjątkowych cechach agresywnej urody i brutalnej energii, choć często wątpliwych lub wręcz odrażających moralnie charakterach. W czasach nowożytnych skrajnym przejawem tej koncepcji stała się neobizantyjska estetyka III Rzeszy, a także niektóre zjawiska współczesnej, postmodernistycznej koncepcji życia zinstrumentalizowanego, skomercjalizowanego i urzeczowionego (życia jako używania po prostu). Przykazaniem naczelnym staje się hasło „bądź nade wszystko atrakcyjny”, najlepiej ostentacyjnie, za wszelką cenę, nie dbając o inne walory.

Model o dominancie etycznej jest przeciwieństwem tamtego. Monopolizując wierzchołki hierarchii wartości przez wybrane, „miękkie” cnoty moralne, głosi pogardę dla wszelkiej aktywności, zwłaszcza cielesnej, co więcej, żąda nawet ascetycznej ofiary jako swoistego probierza doskonałości. Typ ten występuje w niemal wszystkich regionach i kulturach świata, z nasileniem w okresach eskapizmu w stronę swoście pojmowanej czystej, subiektywnej duchowości. Niechęć do wizualnej urody, zdrowia i fizycznej krzepy oraz nieskrywany masochizm cierpiętniczy – kreują obraz człowieka rozciątego na potężnie uformowaną psyche i skarłałą, ułomną somatyczność. Przykazanie główne brzmi tedy „bądź cnotliwy bezgranicznie”, wyróżniając się szczególnie dobrocią cichą i pokornego serca, nie dając się zaś zwieść ułudzie walorów materialnego wyposażenia świata, potrzebom grzesznego ciała oraz fikcjom zmysłowej manifestacji w kulturze powszechnej.

Istnieje wreszcie model trzeci, integralny, ten który *nota bene* zawdzięcza my kulturze greckiej właśnie, głoszący mianowicie równowartość i równoprawność przymiotów etycznych i estetycznych (plus intelektualnych, oczywiście, także). Założeniem tej koncepcji jest generalna myśl antropologiczna, iż człowiek jest w istocie jednością i wielością, co więcej zaś, zarówno owa wielość, jak i jedność stanowią właściwości istotowo konieczne. Jeśli człowiek dąży do doskonałości – a powinien i pragnie to uczynić – to może ją osiągnąć tedy wyłącznie poprzez podniesienie na wyżyny każdej grupy cech bez wyjątku, dla żadnej też nie szukając przywilejów i żadnej z góry nie przekreślając. Nie trzeba i nie wolno arbitralnie wybierać priorytetów, ani estetycznego kosztem etycznego, ani etycznego kosztem estetycznego, skoro da się je pogodzić w ramach dojrzałej struktury wyższego rzędu. Wolno nawet uwzględnić ich pozytywne, wzajemne uwarunkowania (kiedy to obie sfery – etyczna i estetyczna – wpływają stymulująco na siebie).

Warto przy okazji zauważyć, iż najbardziej wpływowe systemy filozoficzne antyku – platonizm, arystotelizm i stoicyzm – nie potrafiły jasno i zdecydowanie wyłożyć sensu tej integralnej, holistycznej i monistycznej koncepcji. Przedstawiła ją jednak nader dobitnie ówczesna myśl społeczna (uprawiana także przez klasyków), a zwłaszcza praktyka pedagogiczna, która w ramach realizowanej *paidei* żądała od cywilizowanego Greka, by ćwiczył z równym zapalem umysł i ciało jednocześnie. Przypuszczano przy tym trafnie, że tak postępując osiągnie się korzyść podwójną: dobro wpłynie na podwyższenie poziomu piękna, piękno stanie się zaś adekwatną prezentacją dobra. Jak wiadomo, konsekwentną, rozwiniętą formą tego poglądu stała się dziedzina sportu, symbolizowana zwłaszcza agonistyką sławnych, panhelleńskich igrzysk w Olimpii. Kontynuacją tej tradycji okazał się współczesny olimpizm, ożywiony przez barona de Coubertin i rozwijany sukcesywnie od ponad stu lat przez działających w różnych regionach świata koryfeuszy sportowej kultury fizycznej. Wszyscy zdają się wychodzić ze wspólnego przeświadczenia, iż sport jest permanentną lekcją repetycji antycznej kalokagatii, kształcąc po równi piękne ciała, jak i dobre charaktery.

Wymienione modele należy, rzecz jasna, traktować wyłącznie jako uproszczone, schematyczne szkice rozwiązań typowych, w czystej postaci raczej rzadko w dziejach występujących. Podobne zastrzeżenia trzeba też uwzględnić w odniesieniu do ich nazw, w dość dowolny przecież sposób sięgających do historii pojęć „etyczności” i „estetyczności”. W obrębie bardziej gęstych typologii wystąpić mogą nadto różne rozwiązania mieszane, o zmodyfikowanych układach uwarunkowań między czynnikami „dobra” i „piękna”. Odpowiednie specyfikacje towarzyszyć muszą też rozmaitym koncepcjom wartości etycz-

nych (na przykład bardziej społecznych lub bardziej osobowych) i estetycznych (preferujących dyskretną harmonię bądź epatujących ostrymi dysonansami, powiedzmy).

Ważne atoli są konsekwencje poszczególnych rozstrzygnięć modelowych, sięgające wprost do rzeczywistości, także w naszych czasach. Jeśli zakłada się w jednym przypadku, że człowiek to układ przymiotów swej zdrowej i cudnej urody, powabu sylwetki oraz sprawności mięśni, to należy tylko temu poświęcać edukacyjną i autopromocyjną troskę. Jeżeli druga koncepcja wskazuje, że człowiek to siedziba wyłącznie moralnego ducha, to trzeba wspomóc jedynie ów „wyższy” zestaw właściwości, uszlachetniających głębinę osobowości. Jeżeli zaś trzeci pogląd głosi, że wszystko jest w człowieku ważne, to powinno się kształtować równomiernie i harmonijnie wszelkie właściwości. Wybór nie jest wszelako sprawą prostą. Wynika on bowiem albo z nacisków danej kultury, odpowiednio nastawionej do poszczególnych rozwiązań, albo da się wyprowadzić z emocji sytuacyjnych, na przykład politycznych, generacyjnych lub środowiskowych. Albo też można uzasadnienia poszukać głębiej, w określonych teoriach naukowych i filozoficznych, być może również o zasięgu metafizycznym czy szerzej – światopoglądowym.

Nie ma powodu ukrywać faktu, że ludzie zdążyli ćwiczyć się wedle wszystkich typów programów edukacyjnych. Dzieje gatunku są však pojemne, podobnie jak przestrzeń globu. Nie wolno jednak zamykać oczu na fakt, iż istnieją lepsze i gorsze rozstrzygnięcia. Jeśli tak jest naprawdę to ten ostatni, integralny, olimpijski z ducha i racjonalistyczny z metody punkt widzenia wydaje się najbardziej cenny.

Piękno sportu – dobro sportu

Nad teorią wychowania przez sport ciąży XIX-wieczne, pozytywistyczne przekonanie, iż kultura fizyczna w ogóle, a sport w szczególności, to dziedzina wartości instrumentalnych, czyli środków do jakiegoś innego, godniejszego celu (zdrowotnego, sprawnościowego, militarno-patriotycznego, moralnego, estetycznego wreszcie). Taką argumentacją posługiwali się pionierzy i klasycy wychowania fizycznego – także polscy – i takie przekonanie utrwaliło się w powszechnej świadomości. Utylitarystyczny punkt widzenia nie ominął zresztą także sztuki, traktowanej podobnie, usprawiedliwianej mianowicie służebnością innym, zda się „poważniejszym” wartościom (narodowym, religijnym, moralnym, w najgorszym razie hedonicznym). I sport i sztuka faktycznie zawierają – obok autotelicznych – również wartości instrumentalne, jest to prawda trudna do zakwestionowania, rzecz w tym wszelako, by nie ulegać fałszywej jednostronności. Etap ten mamy chyba szczęśliwie za sobą, toteż zarówno

dziedzina sztuki artystycznego, jak i świat wartości sportowych wykazują od dawna autentyczną, pochwaleńską godną autonomię. Sport w każdym razie nie musi wciąż odpowiadać na natrętnie ongiś stawiane pytanie – „po co jest i czemu służy?”. Okazuje się, że nie musi być bynajmniej tylko siłą służebną i pośredniczącą, wyrastając na swoistą i samodzielną dziedzinę kultury. Tym samym jest on raczej „dla siebie” niż dla cegółkolwiek innego. W tym też sensie da się o nim rzec, iż jest on po prostu względnie niezależną częścią antroposfery, w szczególności zaś specjalnym terenem kreacji i realizacji wartości. Dodajmy: etycznych i estetycznych pospołu (oraz wielu jeszcze innych).

O jakie wartości estetyczne chodzi w sporcie? Przede wszystkim o piękno ciała w znaczeniu najbardziej prostym i bezpośrednim. Zarówno atleta z Olimpij, występujący tam w pełnej nagości, jak i współczesny zawodnik przyodziany w wymyślne stroje, prezentuje siebie w całej okazałości i krasie fizycznych wdzięków męskich i damskich oraz ludzkich jako takich. Istniejąca kiedyś tendencja do preferowania jednego, „złotego” wzorca proporcji utrzymała się wyłącznie w pobliżu konkursów piękności (kobiecych, dodajmy), ewentualnie kulturystryki. Sport ujawnił znacznie więcej możliwości, zwłaszcza piękna zależnego od uprawianej konkurencji. Urodziwy zapaśnik wag cięższych różni się, bo różnić się musi, od przystojnego średniodystansowca, tak jak śliczna filigranowa gimnastyczka od koszykarki czy kolarki terenowej. Demokratyzacja wzorców pozwoliła na zbudowanie układu różnorodnych, acz równowartych typów powabów i wdzięków, co więcej, dała szansę na daleko idącą indywidualizację w tym zakresie. Piękno w sporcie okazuje się rozmaite, toteż w gruncie rzeczy każdy z osobna może stać się jego nośnikiem (czyli reprezentantem określonego typu urody), pod warunkiem wszakże, że stanie na starcie i zaprezentuje przed rywalami i publicznością swoje szczególne, wyjątkowe walory. Niedaleko jesteśmy od poglądu, iż sport to przede wszystkim nieustająca rewia ludzkiej piękności (reszta jest pretekstem).

Piękno cielesności pojętej statycznie, posągowo, ustępuje właśnie w sporcie – i dzięki niemu – kategorii piękna dynamicznego, a więc urodzie ruchu ciał. Estetyka tradycyjna wytworzyła wyrafinowany język opisu stanów i dzieł nieruchomych (rzeźb, obrazów, budowli, krajobrazów), mniej jednak była wrażliwa na strukturę procesów, działania się, aktywności, ruchu, wyładowania energii. Sport żąda nowej estetyki (zbliżonej do estetyki tańca, teatru i sztuk wirtualnych), albowiem to co najistotniejsze mieści się właśnie nie tyle w samych ciałach, jako takich, ile w ich działaniu. Sport – to ogromna przestrzeń pięknych, niezwykłych aktów ruchu. To nie sportowiec ma być piękny, niczym nieruchoma, żywa rzeźba, lecz jego sportowa akcja, wyładowanie energii, eksplozja siły, on biegnący, skaczący, podnoszący ciężar, zbijający piłkę,

fechtujący szpadą. Piękno staje się funkcją stylu i gracji, ale też mocy i skuteczności działań. Piękny strzał na bramkę musi być celny, piękny finisz pływaka czy biegacza musi być błyskawiczny albo piorunujący, piękny skok narciarski musi być imponujący długością zarazem.

Trzecią warstwę piękna kreują całościowo pojęte wydarzenia sportowe: mecze, wyścigi, zawody, słowem cała ustrukturyzowana dramaturgicznie rzeczywistość sportu jako rywalizacyjnych i perfekcjonistycznych zmagania o aleatorycznej budowie (bez gotowego scenariusza i zawsze bez wiadomego finału). Piękno ciała i uroda ich ruchów zostają w ten sposób wkomponowane w sportowe widowisko, przeżywane w podwójnej perspektywie: przez jego uczestników, czyli samych sportowców oraz przez obserwatorów (dziś często wielomilionową rzeszę publiczności telewizyjnej i internetowej). Piękny bieg, piękny konkurs skoków czy piękny mecz – to fenomeny niezależne od szczybla urody Gebrelassiego, Małysza czy Messiego ani nawet od poszczególnych, wyizolowanych sekwencji wydarzenia.

Jest wreszcie czwarta warstwa sportowego piękna, odwołująca się do architektonicznej i scenograficznej oprawy, tudzież do całokształtu środków przygotowujących i podtrzymujących atmosferę przeżyć. Piękna sportu doświadczamy na pięknych stadionach i halach, w gustownej oprawie muzycznej i w atmosferze święta. Specjalnym wyrazem tych estetycznych poszukiwań stały się wspaniałe ceremonie otwarcia i zamknięcia igrzysk olimpijskich, organicznie wplecione w konstrukcję agonu, choć przecież wyróżniające się własnymi, autonomicznymi walorami. Dostojeństwo sakralizacji przez piękno nawiązuje w ten sposób bezpośrednio do religijnego rytuału igrzysk w Olimpii. Ze względu na zasięg, rangę i wpływ sportu na współczesnego człowieka, trzeba uznać, iż ta czterowarstwowa struktura estetyczna stanowi dziś główny czynnik kształtowania poczucia smaku i wrażliwości estetycznej (być może istotniejszy nawet niż sztuka). Sport zawiera w sobie immanentne, złożone piękno, ale też uczy zarazem, jak go rozumieć i przeżywać.

Podobna w punkcie wyjścia jest sytuacja wartości etycznych. Obecne w sporcie dobro rodzi się w wyniku swoistego kontraktu społecznego, podobnego do umowy jaką – według większości teoretyków – zawiazali kiedyś ludzie, tworząc państwo i prawo. Różnice są, oczywiście, ogromne, albowiem kontrakt w sprawie państwa dotyczy rzeczywistości jako takiej, toteż może być rozpatrywany (jak w przypadku Hobbesa) w kategoriach „mniejszego zła”. Sport natomiast, kreując osobną półrealność świata gry, przyjmuje pozycję z góry narzuconego przez umowę „większego dobra”. Mówiąc bez osłonek, przystępując do sportu, ludzie umawiają się co do reguł i postanawiają się ich trzymać pod restrykcją wykluczenia z agonu każdego, kto ośmieli się lekceważyć kon-

trakt, a więc oszukiwać, mataczyć, fingować i faulować. Co prawda, prawo państwowe – zwłaszcza karne – ma z założenia podobne ambicje, ale z pełni swych uprawnień z konieczności rezygnuje, zmuszone funkcjonować wśród ludzi takich, jakimi są i chcą być. Sport żąda zaś, by ludzie byli lepsi niż poza stadionem już w punkcie startu, w samej definicji zawierając klauzulę, by brak respektu dla zasad uznać za przekreślenie danego zjawiska jako sportowego.

Dwa są fundamentalne kanony dobra. Chodzi o równość na starcie i w przebiegu konkurencji oraz o sprawiedliwość w ocenach. Ich pochodną są wszelkie wartości bardziej szczegółowe, takie jak wolność, przyjaźń, godność, brak dyskryminacji, szacunek wobec innych, męstwo, uczciwość, rzetelność, jak również wyższa i etycznie wyrafinowana odmiana sprawiedliwości „wyrównawczej”, jaką jest zasada *fair play*. Kto rozumie sport, ten dostaje za darmo pogładową lekcję podstaw etyki uniwersalnej i idei humanizmu. Ta niby bezinteresowna zabawa i niczemu w gruncie rzeczy niesłużący zapał w rzucaniu piłką lub przeskakiwaniu przeszkód zawiera w sobie niezwykłą, niezbywalną zaletę. Jest mianowicie ćwiczeniem się w twardych i bezwyjątkowych regułach oraz budowaniu, choćby na małej przestrzeni boiska czy toru wyścigowego, racjonalnego porządku, modelującego dobrą naturę ludzką. Pomimo ciągłych kłopotów z instalacją adekwatnych do celu środków (zwłaszcza w dyscyplinach niewymierzonych), dążność sportu do jednoznacznej preferencji dokładnych i jednolitych kryteriów ocen spowodowała, iż stał się on dziedziną niemalże wzorcową dla innych form życia społecznego. „Sportowe” – znaczy czasem równe i sprawiedliwe. Czynić coś „po sportowemu” stało się synonimem bezinteresowności. Niesportowa postawa – to tyle co naganna moralnie albo przekupna, albo złośliwie agresywna, albo wprost nieuczciwa.

Dobro sportu objawia się także na dwóch innych, ważnych płaszczyznach. Z jednej strony, determinuje ono doskonalenie się osobowości, zwłaszcza w miarę trwałych dyspozycji charakterologicznych. Sportowiec dostaje serię bodźców do własnego, indywidualnego samodoskonalenia poprzez uprawianie cnót pracowitości, samozaparcia, wytrwałości, cierpliwości, odpowiedzialności, ambicji, odwagi, wiary w siebie, hartu ducha w porażkach i skromności w zwycięstwach, dbałości o sprawność ciała i umysłu, pasji w maksymalizacji wysiłku. Z drugiej strony, sport uczy wartości społecznych: współdziałania, współpracy, wszechstronności, strategicznej kalkulacji i taktycznego przewidywania, przede wszystkim zaś myślenia kategoriami „my” (w różnych rodzajach sportu w różnym wymiarze, najmocniej w zespołowych).

Kształtując wnętrze stadionu – jego głównych aktorów, reżyserów i organizatorów widowisk – sport emanuje też moralnie na rzesze obserwatorów. Ze

względem na społeczny kontekst i zarazem mobilny charakter wydarzeń sportowych, otrzymujemy szereg wartości związanych z uczciwym kibicowaniem: empatią, uczuciową identyfikacją, a nawet specjalną „miłością” fanów wobec własnych reprezentantów, zaś gościnnością i szacunkiem dla wszystkich pozostałych (choć, jak wiadomo, ta akurat sfera – na ogół trafnie i mądrze przeżywana przez samych sportowców – bywa, niestety, zarzewiem obcych przesłaniu sportu wybuchów szowinizmu profanów).

Czy dobry to piękny, a piękny to dobry?

Spór o wzajemne relacje dobra i piękna rozgorzał na nowo, gdy przekroczone zostały ograniczenia myślenia utopijnego, zwłaszcza w zakresie wygórowanych, nierealistycznych nadziei, związanych z pojęciem „człowieka”. Drugim powodem stało się rozchwanie kryteriów w aksjosferze, wcześniej w estetyce, nieco później w etyce i epistemologii. Procesy te nie ominęły, oczywiście, sportu, przeciwnie, stał się on nader dogodnym terenem obserwacji i niewysychającym źródłem podniet dla filozoficznych przemyśleń i uogólniających wniosków.

Przed wszystkim chodzi o to, że od czasów arystokratycznej utopii barona de Coubertin rozszerzyła się niebywale kategoria *olimpionika*, godnego dostąpienia do świętych Igrzysk. Najpierw doszła druga płęć (co akurat podniosło poziom estetyczny sportu). Potem zlikwidowano przedziały rasowe (jeszcze w 1900 koncepcja segregacji rasowej wydawała się tak trudna do podważenia, że w St. Louis rozgrywano osobne zawody „etniczne”). Otwierając szanse nowym, specyficznym kanonom urody i mody w sporcie, dokonano milowego kroku w stronę nowego ujęcia gatunkowego. Juwenilizacja pozwoliła na redefinicję dorosłości. Rewolucyjna przemiana dotknęła wreszcie inną, być może najważniejszą stronę uczestnictwa, wtedy mianowicie, kiedy pojawił się sport niepełnosprawnych. Ideał olimpijski musiał otrzymać całkowicie nowe oblicze, przynajmniej na gruncie widomych oznak typu estetycznego.

Podobne, choć nie tak spektakularne zdarzenia towarzyszyły faktom etycznym. Zakładając, iż istniał kiedyś – przynajmniej w wyobrażeniach ideologów – wzorzec sportu dżentelmenów, to wraz z jego umasowieniem i zanurzeniem w rozmaite tradycje kulturowe pojawiły się inne, być może nawet radykalnie odmienne kryteria doboru i metod uczestnictwa. Do sportu garnęli się nie tylko osobnicy gotowi toczyć walkę rycerską, choćby prowadzącą do pięknej klęski. Przeciwnie, Don Kichotów zastępowali raczej epigoni Sancho Pansy, a Kmiciów Kiemlicze, czyli kontynuatorzy tradycji chudopacholskiej lub plebejskiej, niestroniącej od oszustwa, sprytu i cwaniactwa, choć także, gdy trzeba, brutalnej siły, niekiełznanej żadnymi hamulcami, z góry niechętniej zasadzie nakła-

dania wędzideł na zdrowe, naturalne instynkty. Do tego doszedł – co wydaje się paradoksem – wzrost czynnika intelektualnego, wszechobecnego zwłaszcza w przygotowaniu zawodników do boju, w tajnikach warsztatów trenerskich i medycznych (w zwyrodniałej postaci występującej jako źródła sztucznego dopingu), a także w wyścigach wymyślnych strategii kamuflażu, sekretności i inteligencji zwodzącej. Wyrazem tej zmiany stał się tak zwany „faul taktyczny”, czyli rozmyślne wprowadzanie zła do dobrego sportu, po to, by osiągnąć określony skutek pozaetyczny, mówiąc po prostu: piękny rezultat w danej akcji, meczu, mityngu czy też wręcz na miarę światowego czempionatu lub całej kariery.

Tabele rekordów w wielu konkurencjach są, jak wiadomo, wypełnione takimi właśnie osiągnięciami, „chytrości ducha”, do dziś – pomimo rozbudzenia antydopingowej wrażliwości – w wielu kręgach uchodząc za świetne, wspaniałe, godne podziwu dotknięcia granic ludzkich możliwości. Piękno zwycięstwa, rekordu, medalu, punktu, lokaty, sława i oczywiście, równie piękne pieniądze, stały się swoistym usprawiedliwieniem złego traktowania reguł, co do których przecież wszyscy się godzą, gdy przystępują do rywalizacji, lecz których niektórzy nie traktują w pełni poważnie w trakcie walki. Wbrew prognozom Nietzschego, Nadczołowiek Sportu zdaje się wcale nie być synem gwiazd i bynajmniej nie wyłania się gdzieś na wyżynach potęgi szlachetnej, godnościowej, pańskiej etyczności. Ustępuje on pola Pięknemu Zwodzicielowi, strzelającemu gola „ręką Boga”, żywiącemu się niedozwolonymi substancjami, polującym bez skrupów na kości rywala na boisku, a na ringu, bijącemu poniżej pasa lub odgryzającemu ucho rywalowi. *Bad boys* uchodzą często za konieczny efekt procesu wzbogacania kolorytu pejzażu sportowego. Pełni wdzięku skandalisci otrzymują niepomniernie więcej miejsc w mediach i tym samym w powszechnej świadomości, niż sportowcy solidni, twardzi w zasadach, przyzwoici i skromni.

Czy więc dla piękna warto poświęcać dobro? Pytanie to stawiane jest od samych początków aksjologicznej refleksji – od Homera i od Platona, przynajmniej. Jedną odpowiedź już znamy, a głosi ona, że nie ma nad czym się głowić, bo piękno i dobro idą zawsze w parze, a więc dylemat jest pozorny. Ostrożniejsze i bardziej realistyczne koncepcje głoszą, że wybór musi być jednak czasem dokonywany, wtedy zwłaszcza, kiedy dochodzi do jawnej sprzeczności między wartościami. Bywa piękno niszczące, które – niczym uwodzicielski śpiew syren z Odysei – wyklucza dane lub wszelkie dobro, zagrażając nie tyle nawet dobremu imieniu, ale i życiu melomanów. Kwestię tę rozstrzyga na co dzień także sport, pytając o własne granice sensu (w domyśle: dobrego użytku dla człowieka).

Dobro egzystencjalne żąda, by minimalizować niebezpieczeństwa, wynikające z niefrasobliwości organizatorów i brawury uczestników wydarzeń sportowych, podejmujących najwyższe ryzyko tylko w celu uzyskania nadzwyczajnego efektu. Powraca tutaj, rzecz jasna, kwestia sztucznego dopingu, a więc świadomego aranżowania sytuacji, w których sportowcy stają się bezwolnymi królikami doświadczalnymi, zwykle kosztem zdrowia i życia własnego. Pojawia się zarazem problem swoście bliźniaczy, mianowicie ekstremalizacji sportu, aż do granic jawnego igrania z życiem przez śmiałków i szaleńców, premiiowanych finansowo i medialnie do coraz bardziej niebezpiecznych, często jednorazowych wyczynów. Dotyczy to zarówno różnych form ekwilibrystyki przestrzennej, wyścigów pojazdów, jak i gladiatorских, krwawych walk. Sporty „jednorazowego użytku”, niczym pożar Rzymu za Nerona lub współczesne tsunami, wywołują niewątpliwie niezwykle efekty estetyczne (z tragizmem i wzniosłością metafizyczną włącznie), wolno wszelako wątpić, czy niosą naprawdę jakieś dobro.

Dobro esencjalne wskazuje, że nie ma powodu, by to, co istotne dla człowieka, z trudem wypracowane przez tysiąclecia, ale otwierające przed nim wyższe horyzonty, porządkujące jego naturę, zaprzepaścić w ramach nowego etapu kultury w imię niekontrolowanej swobody w relatywizacji wartości. Te istotne wartości – to oczywiście podstawowe wartości etyczne. Sport jest wielką zabawą, to prawda, ale nigdy nie był i nie powinien być nadal zabawą wartościami, dowolnie dobieranymi, wedle tymczasowego zapotrzebowania na określone efekty estetyczne lub hedoniczne. Piękno jest być może bezgraniczne, niczym Kosmos w ujęciu Pitagorasa lub Kanta, trzeba jednak uważać, aby nie przekroczyło niewidocznej linii, oddzielającej to co ludzkie od nieludzkiego, sprzedajnego, uprzedmiotowionego, agresywnego, wybuchającego złością częściej, niż radością.

Czy chcemy mieć sport dobry i piękny zarazem, czy tylko dobry, a może tylko piękny? Odpowiedź na to pytanie rodzi się codziennie w umyśle każdego sportowca, każdego trenera, menadżera i kibica. Kiedyś, w początkach ery nowożytnej nie istniał problem dobra, lecz ukształtowania piękna sportu, wcześniej dość prymitywnego, zgrzebnego, nieporadnego, nieciekawego. Dziś, przeciwnie, sport stał się niekwestionowaną areną piękna wszelakiego. Niepokój budzą natomiast pogłębiające się rysy na jego etycznym wizerunku. Wezwanie do równowagi, w myśl idei kalokagatii nie jest zatem tylko pustym gestem, na wszelki wypadek.

KAPŁAN – ŚWIADEK MOCY NA CZASY ZAMĘTU

Wykład inauguracyjny na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie

Ks. KRZYSZTOF PAWLINA

*Papieski Wydział Teologiczny w Warszawie,
Wyższe Metropolitalne Seminarium Duchowne w Warszawie*

Wprowadzenie

Refleksja nad określonym w temacie problemem będzie poprowadzona dwustopniowo. Najpierw zostaną bliżej scharakteryzowane czasy współczesne, które moim zdaniem można nazwać okresem zamętu. Następnie podjęta zostanie próba pokazania, w jaki sposób ten chaos można by uporządkować.

Część I

Fałszywa bezkonfliktowość

Współczesny człowiek chce dzisiaj żyć bezkonfliktowo. W niektórych środowiskach powtarzana jest fraza: *You are not OK, I'm not OK but that's OK*. To znaczy: *Ty nie masz racji, ja nie mam racji, ale wszystko jest w porządku*.

O jakim zamęcie można mówić w świecie, w którym wszystko jest *OK*? Z sytuacją zamętu mamy do czynienia przede wszystkim na najgłębszych poziomach ludzkiego życia, czyli w warstwie aksjologicznej. W naszej cywilizacji coraz częściej bowiem rezygnuje się z wartości absolutnych. Króluje pragmatyzm. Polega on na tym, że coś staje się wartością jedynie wtedy, gdy służy osiągnięciu indywidualnie określonych celów. To, co jest dla jednostki korzystne, staje się wartością. „Moją” wartością. Tak dokonany wybór, który jednocześnie ma charakter czasowy, tworzy wartość absolutną. Wszystko inne jest relatywne w stosunku do „mojej” wartości. Nikt też nie może uzurpować sobie prawa, by wpłynąć na wolność mojego wyboru. W konsekwencji, na zarzut, że relacje z innymi ludźmi muszą wiązać się ze zobowiązaniami, odpowiada

się: *Live and let live. Żyj i pozwól żyć innym jak chcą*. Innymi słowy, wybór dokonany przez jednostkę stanowi dla niej wartość absolutną. Ta filozofia życia, która próbuje unikać konfliktów, rodzi jednak zamęt na płaszczyźnie aksjologicznej, a w szczególności w zakresie wartości podstawowych. Okazuje się bowiem, że w społeczeństwie, w którym każdy sam określa, co stanowi wartość, a wybory poszczególnych jednostek uważa się za jednakowo uprawnione, nie można mówić o istnieniu wartości podstawowych, które by stanowiły przedmiot powszechnego konsensusu i z tej racji mogły spełniać rolę spoiwa społeczeństw.

Inne oblicze zamętu, o którym tutaj mówię, związane jest z właściwym dla naszej cywilizacji kultem nowości i zmiany. *Nothing is happening. It's boring. Jeśli nic się nie dzieje, robi się nudno* – tak powtarzają młodzi Amerykanie. Nudziarstwo uważane jest za grzech gorszy od kłamstwa. Współczesnego człowieka nie interesuje to, co jest prawdziwe, najważniejsze jest to, co nowe, świeże.

Why not to try? Dlaczego nie spróbować? Istnieje dzisiaj przekonanie, że należy unikać stagnacji. Pożądaną sytuacją jest nieprzerwany ciąg szybko następujących po sobie wydarzeń. Przy czym nieistotna jest ich treść i ranga. Jeśli nic się nie dzieje nowego – rzeczywistość jest nie do zniesienia z powodu nudy. Trzeba więc stale doświadczać czegoś nowego. Takie nastawienie również pociąga za sobą zamęt. W tej sytuacji nie uznaje się bowiem wartości stałych, sprawdzonych i przekazanych nam przez poprzednie pokolenia. Doświadczenie nowości oraz sam proces poszukiwania staje się wartością.

Wartości w niewoli mody

Zabierzmy człowiekowi prawdziwego Boga, a wówczas będzie wierzył w cokolwiek – mówił jeden z amerykańskich filozofów pragmatyzmu. Poprzez „sztuczne” generowanie wartości usiłuje się dzisiaj zaspokoić naturalną potrzebę religijną człowieka. Dla człowieka naszej cywilizacji to co jest popularne, staje się wartością. Kreuje się więc mody, które uznaje się za wartości. Dla lepszego zilustrowania tego zjawiska można przywołać tutaj amerykański film noszący tytuł *Wag the dog*. Jego sens po polsku najlepiej oddaje wyrażenie *ogon merda psem*. W zamyśle reżysera tytuł ten stanowi metaforę mentalności i zachowania współczesnego człowieka bezwiednie podążającego za różnymi modami, jak gdyby był zaprogramowany przez tych, którzy je kreują.

Programowanie myślenia człowieka naszych czasów sprawia, że ludzie tracą kontakt z tym co rzeczywiste, a przyjmują za prawdziwy świat nierealny, wirtualny i w nim żyją. W świecie, który im zaproponowano jako modny. Mamy więc do czynienia z programowaniem uczuć, myślenia i zachowania. Innymi

słowy, to co realne przestaje stanowić punkt odniesienia, ponieważ nie jawi się jako modne, a więc nie jest uznawane za wartościowe. Należałoby też wspomnieć, że z tym zjawiskiem mamy do czynienia także w życiu duchowym.

Cyprian Kamil Norwid postawił kiedyś pytanie o fundament dobrego życia. Jego odpowiedź była następująca: chodzi o to, aby nie było zawrotu głowy oraz zamętu w sumieniu. Tymczasem dzisiaj człowiek podąża za modą. Ekscytuje go to, co zostanie mu przedstawione jako modne. Przy czym przyjmuje on to, nie zadając żadnych pytań. Bezrefleksyjnie konsumuje to, co zostanie mu podane. Co więcej, podobnie zachowuje się w odniesieniu do prawdy. W konsekwencji nierzadko zdarza się, że to co niemoralne, zostaje uznane za normę, to co jest dziwactwem, urasta do rangi powszechnie obowiązującego zwyczaju. I tak ogon merda psem. A pies? Niekiedy konstatuje ze zdziwieniem, że nie może merdać własnym ogonem. Parafrazując Norwida, można by powiedzieć, że mamy dziś do czynienia z zawrotem głowy i zamętem sumienia. Współczesny człowiek został wykorzeniony z rzeczywistości i zanurzony w nierealnym świecie.

Powyższa sytuacja na dłuższą metę jest nie do utrzymania. Dlaczego? Ponieważ nie można w niej wskazać gruntu, po którym można byłoby stąpać pewnie i bezpiecznie. Pocieszające jest jednak to, że młodzi ludzie zaczynają powoli doświadczać przesytu kolorowym światem, w którym brak jest stałych punktów odniesienia. Zaczynają poszukiwać trwałości i sensu. Czynią to jednak niejako po omacku. Zjawisko to uwidacznia się na przykład w postaci różnego rodzaju powstających obecnie ortodoksyjnych ruchów, przybierających niekiedy charakter fundamentalistyczny.

Gilbert Keith Chesterton, konwertyta, nazwany przez krytyków literackich apostołem zdrowego rozsądku, napisał: „*Ja kocham nie taki Kościół, który jest zmieniany przez świat, ale taki Kościół który zmienia świat*”.

Religijność własnej produkcji

Współczesne pojmowanie wiary i chrześcijaństwa określa się niekiedy jako *smörgåsbord* oraz *bufet style*. *Wylóż mi wszystko na stole, a ja sobie wybiorę to, co mi smakuje*. Obecnie przybiera na sile proces selektywnego podejścia do wiary. Podobnie jak w hipermarkecie klient komponuje swój własny niepowtarzalny zestaw towarów, swój własny koszyk, tak też ma to miejsce w dziedzinie ducha. Znanych jest nam wiele religii, tradycji religijnych, szkół duchowości, technik medytacyjnych i modlitewnych. Możemy więc skomponować z tych elementów unikalną, jedyną w swoim rodzaju duchowość. Sytuacja, gdy spotykam człowieka, który dokonał identycznego jak ja wyboru, nie stanowi jednak powodu do radości. Oznacza bowiem, że prawdopodobnie moja

własna religia jest zbyt mało „moja”, tzn. w niewystarczającym stopniu unikalna. Proces komponowania jedynej w swoim rodzaju, niepowtarzalnej religii należy wówczas zacząć na nowo. W tym kontekście austriacki socjolog Paul Zulehner stwierdził, że dziś stają się modne wszelkiego rodzaju ruchy mające na celu zaspokojenie różnych potrzeb jednostki. Można więc powiedzieć, że skomponowana przez współczesnego człowieka własna religia nie oznacza relacji z Bogiem oraz ludźmi, ale jest duchową przygodą z samym sobą.

Kurczenie się horyzontów

Zamęt charakteryzujący współczesność wynika również z tego, że obowiązującym modelem interpretacji rzeczywistości stała się fragmentaryczność. Świat jawi się jako pokawałkowany. Nie istnieje jedna myśl, która go spaja. Życie ludzkie również składa się z epizodów nie mających ze sobą wiele wspólnego. Historia świata, a także historia jednostek, zmierza znikąd do nikąd. Jest pasmem przesuwających się stopklatek. Jednostka traci kontakt z większą całością, która pozwalałaby zrozumieć i zaakceptować własne życie.

Człowiek zatem z jednej strony tęskni za sensem, z drugiej zaś strony unika wszystkiego, co pozwoliłoby mu ów sens uchwycić. To stan nieuleczalnego zamętu.

Część II

Zamętu, o którym tutaj mówię, nie można jednak porównać do *fatum*, któremu trzeba się poddać i nie można go przezwyciężyć. Po grzechu pierwszych ludzi Bóg podjął inicjatywę ratowania świata. Do ludzi z ich słabościami i uwikłaniem w grzech przyszedł i nadal przychodzi Jezus Chrystus z mocą porządkującą. Kościół zaś jest służą tej mocy. Jej świadkiem ma być kapłan – *alter* Chrystus. Zapytajmy zatem, jak w dzisiejszym świecie, na współczesnym etapie historii zamętu, kapłan może pomóc w zbawczym porządkowaniu świata.

Kapłan – człowiek trójwymiarowy

Człowiek jest dziś redukowany w swoim człowieczeństwie, tożsamości i powołaniu. Pojmuje się go jednowymiarowo. Tymczasem Kościół ukazuje człowieka jako istotę trójwymiarową. Przez chrzest bowiem staliśmy się uczestnikami życia Trójcy Przenajświętszej. Implikacją tego faktu jest obowiązek odtwarzania życia Trójcy, zwłaszcza w posłudze kapłańskiej. Życie człowieka trójwymiarowego to życie relacjami Ojca, Syna i Ducha Świętego. Ojcem jest

ten, który umie dawać. Synem – ten kto umie przyjmować. Bratem zaś ten, kto umie się dzielić.

Postawę ojcowską charakteryzuje przekraczanie siebie, wychodzenie na zewnątrz, czyli podejmowanie inicjatywy w stosunku do tego, którego chce się obdarować. Ojciec ciągle wychodzi naprzeciw, podejmuje nieustannie inicjatywę czynienia dobra innym. Co więcej, ojciec nigdy nie obraża się na swoje dzieci z tego powodu, że nie umiały przyjąć jego daru albo go odrzuciły. Należy też tu podkreślić, że ojcostwo nie oznacza partnerstwa. Taka koncepcja ojcostwa stoi w sprzeczności ze współczesnym rozumieniem relacji międzyludzkich, to znaczy z traktowaniem wszystkich jako równych sobie partnerów. Tymczasem ojcostwo oznacza pozycję uprzywilejowaną. Ma zatem niewiele wspólnego z partnerstwem. Ojciec wychodzi poza siebie żeby dawać i – jak to już wcześniej powiedziałem – nigdy się nie obraża. Dostrzec można tu zatem kolejną cechę ojcostwa – męstwo w znoszeniu trudów i przeciwności.

Oprócz postawy ojcowskiej kapłan winien również reprezentować postawę synowską. Do jej istoty należy przede wszystkim umiejętność przyjmowania. Ukształtowaniu postawy synowskiej zagrażają dzisiaj trzy niebezpieczeństwa. Pierwszym z nich jest tendencja do przywłaszczania sobie otrzymanych darów, drugim – nastawienie roszczeniowe – mnie się to należy, zaś trzecim – dążenie do całkowitej niezależności od innych i samowystarczalności – nikomu nie chcę nic zawdzięczać, nic nie chcę od nikogo, ale niech inni też ode mnie niczego nie oczekują. Tymczasem postawa synowska oznacza umiejętność przyjęcia z wdzięcznością otrzymanych darów. Syn zaś staje się ojcem, gdy wychodzi z tym, co otrzymał do innych, aby im to ofiarować.

Kapłan winien być także bratem. Ojciec obdarowuje innych, syn przyjmuje, zaś bracia potrafią się dzielić między sobą. Właściwemu ukształtowaniu postawy braterskiej nie sprzyja dzisiaj pojawiająca się w stosunkach międzyludzkich konkurencja – kto jest lepszy. Towarzyszy jej na ogół zazdrość, która również przyczynia się do niszczenia relacji braterskich. Destrukcyjne dla omawianej tutaj postawy jest również stosowanie zasady Kaina, czyli dążenie do eliminacji tych, którzy pod jakimś względem są lepsi.

Jedynie kapłan, który stara się ukształtować w sobie owe trzy postawy: ojcowską, synowską i braterską, będzie potrafił wziąć odpowiedzialność za *Ecclesię*. Człowiek taki jest bowiem osobą dojrzałą. Urzeczywistnia w sobie treść relacji tworzących najświętszą, najmocniejszą wspólnotę – Trójcę. Żyjąc relacjami, jakie istnieją pomiędzy Osobami Trójcy, jest też mocny siłą miłości łączącej Ojca i Syna w Duchu Świętym. Ta moc porządkuje i uzdalnia człowieka, by w świat zamętu wprowadzał nowy porządek.

Kapłan szukający szukających

Przed laty Leszek Kołakowski powiedział, że siłą cywilizacji zachodniej jest ciągle kwestionowanie samej siebie w celu znajdowania coraz bardziej adekwatnej odpowiedzi, to znaczy prawdy. Należy być zatem zaniepokojonym, gdy człowiek nie stawia pytań – wszystko staje się mu obojętne. Dzisiaj można zauważyć, że Europa przestała zadawać pytania. Wszystko wie, dekretuje, obwieszcza. Kryzys zachodniego świata polega na tym, że przestał kwestionować siebie, czyli szukać prawdy.

Kryzys wiary może także przyjść wtedy, kiedy nie jest ona kwestionowana. Jeden ze współczesnych filozofów stwierdził, że największy problem dzisiejszych chrześcijan nie polega na tym, że chrześcijanie nie znają właściwych odpowiedzi, ale na tym, że zapomnieli o pytaniach. Nie pytają, nie szukają. Wszystko wiedzą i ogłaszają. Z drogi szukania i stawiania pytań nie wolno schodzić nikomu: ani świeckim, ani kapłanom. Stawianie pytań i poszukiwanie odpowiedzi pomaga nam bowiem wchodzić coraz bardziej w Tajemnicę i odkrywać ją.

Kapłan powinien być dzisiaj człowiekiem, który towarzyszy drugiemu człowiekowi w stawianiu pytań, co więcej, prowokuje do pytań i szuka z nim odpowiedzi. Kapłan będzie świadkiem mocy w świecie zamętu, gdy będzie budził tęsknotę za Bogiem, wąpił z wąpiącymi i szukał z szukającymi. Tym, którzy uważają, że wszystko wiedzą, Tomasz Halik radzi, by czasem postavili się na chwilę w miejscu ludzi szukających i zobaczyli, jak wygląda Bóg z ich perspektywy. Zdaniem Halika Boga można proponować jedynie wtedy, gdy rozumie się ludzi. Kapłan winien być człowiekiem, który proponuje swoim siostram i braciom Boga, wsłuchując się w ich pytania, rozumiejąc ich wątpliwości. Przynosi im Boga w swoim byciu z nimi i dla nich, rozumiejąc ich. Wówczas Bóg staje się miejscem spotkania dla wąpiących, pytających i poszukujących. Jeden z poetów konieczność poddawania przez kapłanów ich wiary krytycznej refleksji ujął w następujący sposób:

„Jak często trzeba tracić wiarę
urzędową, aby odnaleźć tą jedyną,
która jest spotkaniem po ciemku
kiedy niepewność staje się pewnością.
Prawdziwa wiara, bo całkiem nie do wiary”.

Bycie mocnym w wierze nie oznacza posiadania odpowiedzi na każde pytanie. Nie powinno też objawiać się reagowaniem niecierpliwością na wątpliwości innych. Świadek mocny to ten, który, będąc słabym człowiekiem, przylgnął do Jedyne go, który jest mocny. Świadek mocny, to świadek Wszechmocnego

Boga. Tomasz Merton podobnie rozumiał istotę bycia świadkiem mocy. „*To czego się od nas żąda – stwierdził Merton – to nie tylko mówienie o Chrystusie, ale takie postępowanie, by On żył w nas, a ludzie mogli go odnaleźć czując, jak żyje*”.

Kapłan tęskniący za Barankiem

„*Ktoś budzi mnie, czuję ostrożne, lekkie dotknięcie. Twarz, która pochyla się nade mną, jest ciemna, widzę nad nią biały turban, tak jasny, że niemal świecący, jakby pociągnięty fosforem*” – napisał Ryszard Kapuściński w książce *Heban*. Dalej dodał: „*Jest jeszcze noc, ale wokół panuje ruch. Kobiety rozbierają szalasy, chłopcy układają chrust na ognisku. Jest pośpiech w tej krzątaninie, wyścig z czasem: zrobić jak najwięcej, nim pojawi się słońce i zacznie upał. Trzeba więc szybko zwinąć nocne koczowisko i ruszyć w drogę. Ci ludzie nie czują żadnego związku z miejscem, w którym są. Zaraz stąd pójść nie zostawiając śladu. W swoich dumkach, które śpiewają wieczorem, ciągle będzie powtarzać się refren: «Moja ojczyzna? Moja Ojczyzna jest tam, gdzie pada deszcz»*”. Kapuściński opisuje w ten sposób życie jednego z ludów w północnej Somalii. Przytoczony tutaj cytat z *Hebanu* może inspirować przy formułowaniu odpowiedzi na pytanie o „jutro” kapłanów, o przyszłość wiernych, chrześcijan.

Pytamy się, czy chcemy iść i dokąd. Kapuściński mówi, iż lud pielgrzymuje od studni do studni, od oazy do oazy, unikając palących promieni słońca pustyni. Bez studni nie ma życia. Studnia jest nieodzowna. Studnia obfita w świeżą, zdrową wodę. Lecz aby dotrzeć do niej, trzeba nie lada wysiłku, trudu, nieraz całych dni marszu w słońcu, odwagi w obliczu różnych niebezpieczeństw.

Współczesny kapłan idzie przez życie podobnie jak ów pustynny, koczowniczy lud. Pustynia wypala, odbiera moc, ale póki się idzie, dopóty jest nadzieja, że znów dojdzie się do studni. Studnia, z której czerpaliśmy wodę, pozostała daleko w tyle, do nowej jeszcze wciąż daleko. Nie widzimy żadnych szlaków, ścieżek czy gościńców. Mamy wrażenie, że wszystkie znane nam drogi zasypał ruchomy piasek pustynnej codzienności. I w tym miejscu zaczyna się walka o przetrwanie, nie studni, ale o nasze przetrwanie. Studnia jest studnią i nią pozostanie, ale zagrożeni jesteśmy my.

Św. Augustyn stwierdził, że życie człowieka jest „ćwiczeniem się w tęsknocie”. Nie chodzi tu jednak o jakąkolwiek tęsknotę, ale tęsknotę podstawową, najważniejszą. Chodzi o ten rodzaj tęsknoty, która wytycza kierunek życia, nadaje mu treść i ostateczny sens, także siłę do szukania źródła – studni na pustyni. Ćwiczyć się w tęsknocie za bliskością z Bogiem. Tęskniący za Bogiem jest wierzącym, który nie chce pozostać tym, kim jest. Chce wzrastać. Chce być

kimś więcej, kimś bardziej niż jest. Jeśli jest to droga każdego chrześcijanina, to tym bardziej i przede wszystkim jest to droga pasterza.

Tęskniący za Barankiem, szukający ciągle nowych studni, źródeł życia na pustyni. Będę się stawał świadkiem mocnym, świadkiem, za którym pójda inni zabłąkani na pustyni. Tęskniący za Barankiem staje się mocny mocą Baranka.

Zakończenie

François Mouriace w jednej ze swoich książek skierował apel, ostrzeżenie pod adresem kapłanów: *„Dzień, w którym wy przestaniecie płonąć będzie oznaczał śmierć z zimna dla wielu ludzi”*. Rozglądając się wokół siebie, możemy zaobserwować wyraźne znaki tego oziębienia. Im bardziej ociepla się klimat na naszej planecie, tym bardziej niepokoi wystudzenie ludzkich serc. Kapłani mają więc tak wiele do zdziałania. Są tymi, którzy powinni dzisiaj przewodzić światowej kampanii przeciwko oziębieniu klimatu – klimatu ludzkich serc. Oby takimi byli.

KIEDY NASZE CZYNY MAJĄ WARTOŚĆ MORALNĄ?

Wykład inauguracyjny w Szkole Głównej Służby Pożarniczej

KONRAD WALOSZCZYK

Szkola Główna Służby Pożarniczej

W wykładzie tym podejmuje się zagadnienie z zakresu etyki normatywnej. Stawiamy sobie pytanie, co sprawia, że nasze postępowanie jest mniej lub bardziej dobre, słuszne, chwalebne, godne naśladowania, bądź przeciwnie – złe, niesłuszne, podłe, naganne itp. Co decyduje o wartości moralnej naszych czynów? **Intencja**? Jeśli tak, to jaka? Poczucie obowiązku, współczucie, życzliwość powszechna, chęć spełnienia woli Bożej? A może o wartości moralnej decydują nie intencje, ale **konsekwencje** naszych działań? – Umniejszenie czyjegoś cierpienia, społeczny pożytek, pomnożenie szczęścia wokół nas?

Zastanowimy się nad pytaniem o kryterium wartości moralnej w świetle dwóch teorii: kantyzmu i utilitaryzmu. Obie poczęły się w okresie Oświecenia, mniej więcej dwieście lat temu, i po różnych uzupełnieniach nadal są aktualne.

1. Kanta „imperatyw kategoryczny”

Pierwszą jest teoria imperatywu kategorycznego Immanuela Kanta (1724-1804). Imperatyw jest to nakaz sumienia, a przymiotnik „kategoryczny” oznacza, że jest on **bezwarunkowy**, nie zaś uzależniony od korzyści, skłonności, przyjemności, uczucia czy społecznego uznania, jakie mogą danemu czynowi towarzyszyć. Przeciwnieństwem kategorycznego jest imperatyw hipotetyczny, uzależniający spełnienie powinności od jakiegoś warunku. Na przykład: będę spełniał sumiennie swoje obowiązki, jeśli przełożeni to doceniają; będę uczciwy w swej działalności gospodarczej, jeśli inni też będą uczciwi; oddam dług, jeśli będzie mnie na to stać itp.

Imperatyw kategoryczny Kanta ma trzy formuły. Pierwsza mówi: **Kieruj się w swym postępowaniu czystą intencją spełnienia obowiązku**, nie

korzyścią, skłonnością, zadowoleniem czy uczuciem. Idzie oczywiście o obowiązek, który przeszedł próbę namysłu i jest aprobowany przez sumienie światłe i wrażliwe, nie zaś o obowiązek spełniany bezkrytycznie z polecenia przełożonych. Przypomnijmy, że zbrodniarze sądzeni w Norymberdze tłumaczyli się, że po prostu spełniali swój obowiązek.

W świetle etyki Kanta, to że na przykład strażak gasi pożar, bo chce pozostać w swojej pracy, albo że lubi to robić, albo że współczuje zagrożonym ludziom – wszystko to są pobudki dopuszczalne wprawdzie, ale nie wnoszące niczego do wartości moralnej działania strażaka. Tylko to, że spełnia on swój obowiązek i to nie „w zgodzie z obowiązkiem”, ale **w imię obowiązku**, można powiedzieć – w poczuciu powołania – nadaje jego działaniu moralną wartość.

Druga formuła imperatywu kategorycznego mówi: **Niech twoje postępowanie będzie takie, by mogło zarazem być prawem powszechnym**. Kant wymagał w tym punkcie wiele, na przykład by nigdy nie kłamać. Takiego wymogu nie sposób utrzymać. Kłamiemy z powodów grzecznościowych, osłaniając dobre imię swoich najbliższych, czy zwłaszcza w obronie czyjegoś życia, jak to miało miejsce często podczas ostatniej wojny światowej. Normy moralne niekiedy kolidują ze sobą i trzeba wówczas jedną z nich postawić wyżej. Prawdomówność jest podporządkowana miłości.

Trzecia formuła mówi: **Nigdy nie traktuj drugiego człowieka jako wyłącznie środka do celu, ale zawsze również jako cel sam w sobie**. Na przykład, pracodawca nie powinien traktować pracownika tylko jako narzędzie przynoszące mu zysk, ale zawsze powinien dostrzegać w nim również człowieka. Pamiętajmy, że Kant twierdził tak w czasie, gdy na świecie istniały jeszcze setki milionów niewolników, których traktowano jako rzeczy. Niewolników można było kupować, sprzedawać, pożyczać, zastawiać. Kant był jednym z pionierów formułowania tak zwanych praw człowieka.

Wróćmy na chwilę do idei obowiązku. Czym Kant się kierował, że wyniósł na piedestał świętość obowiązek, a poza nawiasem etyki umieścił wszelkie motywy mniej wzniosłe, ale przecież ludzkie – to na przykład, że ktoś lubi swą pracę i spełniając ją, chce być wraz ze swymi najbliższymi względnie chociaż szczęśliwy? Otóż kierował się on godnym uwagi poglądem na sens naszego życia. Uważał, że nie żyjemy po to by być szczęśliwymi, ale by **być godnymi szczęścia**. Pisał: „Czigodność obowiązku nie ma nic do czynienia z używaniem życia (...) etyka nie jest nauką o tym, jak mamy czynić się szczęśliwymi, lecz o tym, jak mamy stać się godnymi szczęśliwości.” (Kant, 1984 [1788] s. 146, 209). Pojęcie szczęścia należy tu rozumieć szeroko jako ogólną przewagę doświadczeń pozytywnych nad negatywnymi w czyimś życiu. Ponieważ zaś obserwacja życia jasno wykazuje, że ludziom etycznym nie zawsze

szczęście przypada w udziale, Kant, który gruntownie skrytykował racjonalne dowody na istnienie Boga, w tym miejscu sformułował swój własny, już nie dowód, ale **moralny postulat istnienia Boga**. Powinno, jego zdaniem, w życiu przyszłym mieć miejsce wyrównanie tej niesprawiedliwości, że ludziom zasługującym na szczęście nie przypada ono w udziale.

Widzimy, że etyka Kanta jest etyką akcentującą wagę **intencji** w działaniu. Niewątpliwie jest w takim ujęciu coś cennego, to mianowicie, że **człowiek kierujący się czystą intencją spełnienia obowiązku, nie sprawi zawodu w sytuacjach, gdy opuszczą go wszystkie naturalne, interesowne i uczuciowe pobudki działania**, a wiadomo, że bardzo są one zmienne. Na takim człowieku można polegać, będzie on uczciwy bez względu na to, czy to mu się opłaci i jak inni to oceniają. Zarazem jednak dostrzegamy w tym miejscu jednostronność Kantowskiego imperatywu kategorycznego.

Ograniczenia etyki Kanta

Czy to, że strażak gaszący pożar, cokolwiek sobie przy tym myśli, jakiegokolwiek intencje nim powodują, jednak obiektywnie ratuje życie i mienie ludzi, umniejsza ich cierpienie, pomnaża pożytek i wzmacnia bezpieczeństwo wokół siebie – czy cała ta **skutkowa strona jego działania** nie ma żadnej wartości moralnej? Czy pewien ładunek etyczny nie jest wpisany w sam jego zawód? Czy bezpieczeństwo samo w sobie nie jest wielkim dobrem społecznym, które strażak – wraz z funkcjonariuszami cywilnymi i innymi współpracownikami – chroni i pomnaża, także wtedy, gdy kieruje się zwyczajnymi, ludzkimi i przyziemnymi intencjami, nawet gdyby to był tylko strach przed niewykonaniem polecenia? Zdrowy rozsądek domaga się, by udzielić odpowiedzi pozytywnej, co też w filozoficznej postaci uczyniła inna, utylitarna teoria moralności, do której za chwilę przejdziemy.

Etyka Kanta kryje też w sobie pewien **formalizm**, wymagający od zwykłych ludzi zbyt wiele i pomijający uczuciową stronę działania moralnego. Bez współczucia etyka pozostaje sztywna, jednostronna i elitarna, za co też Artur Schopenhauer rychło i słusznie Kanta skrytykował w dziele *O podstawie moralności* (Schopenhauer, 2005 [1840]) i w innych.

Jeszcze inną trudnością w etyce Kanta jest **niejasność ludzkich intencji**. Jak zauważył inny filozof, Sören Kierkegaard, „człowiek zakłamywany nie musi już kłamać”. Do tego, by krzywdził innych, wystarczy, że jest sobą. Ludzie nieraz krzywdzą innych, uważając to za swój święty obowiązek. W innym przypadku, ktoś czyni wiele nadobowiązkowego dobra i również uważa, że to jego obowiązek. Właściwie nikt z nas nie zna do końca pobudek swego działania, gdyż zbyt silne są uwarunkowania tych pobudek: tradycją kulturową

i rodzinną, stanem posiadania, płcią, wiekiem, wrodzonym charakterem itp. Nie sposób wszystkiego objąć pełną refleksją. Tak więc szlachetne intencje tylko w pewnym stopniu mogą decydować o wartości moralnej naszego działania. Liczą się także jego zamierzone **skutki**.

2. Utylitaryzm – o wartości moralnej decydują rezultaty naszych działań

Obok Kantyzmu w historii etyki pojawiła się zatem druga, niemniej wpływowa teoria moralności, jaką jest **utilitaryzm**. Jego nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *utile* – to, co użyteczne. Dewizą utilitaryzmu jest: „**Postępuj tak, by umniejszać cierpienie i powiększać sumę szczęśliwości jak największej liczby istot czujących**” (ludzi, ale także zwierząt).

Głównymi przedstawicielami utilitaryzmu są angielscy filozofowie Jeremy Bentham (1748-1832) i John Stuart Mill (1806-1873). Ideałem ich doktryny moralnej nie jest człowiek obowiązku i niezłomnych zasad, ale **człowiek twórczy**, ten, kto wykorzystuje swoje talenty, by na świecie było mniej łez, a jak najwięcej względnego chociaż szczęścia. Nie tyle człowiek święty w religijnym czy Kantowskim pojęciu, ile ten, kto przyczynia się do **postępu** w jakiegokolwiek dziedzinie: naukowiec, wynalazca, przedsiębiorca, reformator społeczny.

Etyka utilitarna proponuje ideał moralny głęboko humanitarny, a także zgodny ze zdrowym rozsądkiem, który podpowiada, że pewną wartość moralną ma każde działanie zwyczajnie użyteczne, także to, które pochodzi z pobudek interesownych. Jak to ujął Adam Smith w epokowym dziele *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów* (Smith, 1954 [1776], s. 40): „*Nie od przychylności rzeźnika, piwowara czy piekarza oczekujemy naszego obiadu, lecz od ich dbałości o własny interes. Zwracamy się nie do ich humanitarności, lecz do egoizmu i nie mówimy im o naszych własnych potrzebach, lecz o ich korzyściach*”. Idzie jednak o tak zwany **egoizm oświecony**, to znaczy poddany prawu i elementarnej przynajmniej etyce. Niewidzialna ręka rynku, twierdził dalej Smith, dobra i usługi pochodzące z interesownej motywacji rozprawdza po całym społeczeństwie, tak że wszyscy na tym zyskują. Współczesny ekonomista zgłosiłby wątpliwości co do koncepcji sformułowanej tak dobroduszenie, ale w jej rdzeniu jest pewna prawda.

Utylitaryzm wraz z ekonomią liberalną, rewolucją przemysłową i tysiącami wynalazków technicznych, wraz z reformami politycznymi i handlowymi, wraz z naukowym zarządzaniem, które powstało na początku XX wieku, utworzył potężne koło zamachowe **postępu materialnego i społecznego**, w wyniku

którego powstały państwa bogate i będące na drodze rozwoju. W porównaniu z dziewiętnastym, w wieku dwudziestym około siedemnaście razy wzrósł produkt światowy brutto. Wydłużyła się długość ludzkiego życia i pod wieloma względami poprawiła się jego jakość. Proces ten wprawdzie nie objął całej ludzkości, co jest jego moralnym cieniem, ale to osobny temat. W każdym razie zasługą etyki użytecznej jest to, że skłania do zaangażowania się w budowę lepszego świata, co też w znaczącej mierze dokonało się we współczesnym świecie.

Ograniczenia użyteczności

Teoria etyczna użyteczności ma również swoje ograniczenia. Wskażemy na cztery z nich.

1. **Jak obliczać „sumę szczęścia” istot czujących?** Jak zsumować przyjemności zmysłowe z satysfakcjami duchowymi? Jednych cieszy dobre jedzenie, innych astrofizyka. Zważywszy jakościowe różnice, a nawet niewspółmierność różnych rodzajów tego, co ludzie uważają za swoje szczęście, jest to możliwe tylko w przybliżeniu, tylko intuicyjnie, a i tak jeszcze wniosek pozostanie dyskusyjny.

- Niewolnictwo nie zostało zniesione wskutek tego, że społeczeństwa uznały, iż suma szczęścia ich obywateli będzie wtedy większa, bowiem większość obywateli była z dawnego stanu rzeczy zadowolona.
- 80% współczesnych Polaków – zarówno mężczyzn, jak kobiet – jest zadowolonych z patriarchalnego modelu rodziny, w którym mąż zarabia pieniądze, a kobieta zajmuje się domem i dziećmi. Jeśli jest inaczej, to z konieczności materialnej, nie dlatego, iżby uważano, że kobiety powinny mieć równe z mężczyznami szanse we wszystkich dziedzinach życia, łącznie z dostępem do ośrodków władzy.
- Zjawisko „fali” w wojsku daje taką nadwyżkę szczęścia tym, którzy upokarzają rekrutów, że „suma” szczęścia wynikająca z tego obyczaju wypada snadź dodatnio, skoro zjawisko to się utrzymuje.

W każdym z tych przypadków musiało bądź jeszcze musi dojść do głosu coś spoza wszelkiego rachunku – pewien postulat moralny podobny do Kantowskiego imperatywu kategorycznego. Postulat ten mówi: „Tak nie wolno, to jest złe, godność człowieka na to nie pozwala, nawet jeśli większość nie dostrzega problemu”.

2. **Pokusa celu uświęcającego środki.** Dlaczego nie poświęcić życia np. jednego człowieka po to, by uśmierzyć zamieszki i możliwy rozlew krwi?

Dlaczego tortury zastosowane wobec groźnego terrorysty mają być złe, skoro jest to jedyny środek, by wydobyć od niego informacje mogące ocalić życie wielu innych?

W każdym z tych przykładów idea „sumy użyteczności” zdaje się dozwalać to, co w świetle etyki Kanta jest niedopuszczalne.

3. **Zadawanie cierpienia jest złem, ale niekoniecznie samo cierpienie**, zwłaszcza w postaci wysiłku. Studenci wiedzą, że wkuwanie do egzaminów nie jest czymś przyjemnym, ale raczej bolesnym wysiłkiem. Na taki wysiłek w zasadzie stać człowieka tylko w młodości. Czy studenci czuliby się szczęśliwi, gdyby w postaci chipów wszczepiano im do mózgów gotową wiedzę? Nie, poczucie szczęścia, podobnie jak ładnej pogody wymaga swego kontrastu. Tylko to nas naprawdę cieszy, na co zasłużyliśmy trudem i potem.
4. **Utylitaryzm przyczynił się do wzrostu dobrobytu, ale jest mało użyteczny w określeniu sprawiedliwego podziału jego owoców**. To złożony temat tak zwanej sprawiedliwości społecznej. Powiedzmy tylko, że po to, by ludzie przez naturę czy los ubogo wyposażeni, na przykład bezrobotni, chorzy i niepełnosprawni, mogli godnie żyć, nie wystarczy idea „sumy szczęścia”, ale trzeba wziąć coś od Kanta i innych teorii etycznych, w których podkreśla się godność i prawa człowieka.

Reasumując, obie teorie, Kantyzm i utilitaryzm, mają swoje zalety i niedostatki, a chociaż od dwustu lat rywalizują ze sobą, to w dużej mierze również się uzupełniają. Nie ma teorii, która by obejmowała całość problematyki moralnej. Dlatego w dzisiejszej etyce stosuje się pluralizm teorii etycznych.

3. Wnioski z wykładu

- **Postępowanie moralne, podobnie jak „człowieczeństwo” nie może być tylko środkiem do osiągnięcia czegoś innego, choćby to było „szczęście”. Jest zawsze także celem samym w sobie.** Uczciwość jest dla uczciwości, nie tylko dla jej skutków. Pod tym względem pogląd Kanta zachowuje swoją ważność.
- **Życie cnotliwe, ale mało twórcze i użyteczne nie jest wystarczającym wzorem.** Ideał umniejszania cierpienia i zwiększania bilansu „szczęścia” dla siebie i dla innych jest, mimo swych ograniczeń, moralnie piękny. Etyka inwestowania konstruktywnej energii uzupełnia etykę zasad.

- **Teorie Kanta i utilitarystów uzupełniają się.** Nie ma teorii, która mogłaby objąć całość problemów moralnych. W dyskusjach nad dzisiejszymi problemami etycznymi, takimi jak aborcja, eutanazja czy inżynieria genetyczna, stosuje się pluralizm teorii etycznych.

4. Zastosowanie praktyczne treści wykładu

Zobaczmy teraz, co z zalet obu naszkicowanych wyżej teorii może wynikać dla etyki zawodowej strażaków. W ostatnich latach powstało wiele kodeksów etyki zawodowej: posłów, dziennikarzy, policjantów, straży granicznej i innych. Z pomocą kolegów humanistów sformułowaliśmy także roboczy kodeks etyki strażackiej. Oto niektóre jego zasady:

1. **Bądź gotów do poświęceń.** W akcjach ratowniczych bądź gotów zaryzykować swe zdrowie, a w sytuacjach skrajnych nawet życie, gdyż jest ono głęboko zależne od bezpiecznego życia innych.
2. **Służba to powołanie.** Służba strażaka to nie tyle zawód, co powołanie. Sprawuje się ją nie tylko po to, by sobie i rodzinie zapewnić środki utrzymania, ale jej głównym motywem powinna być miłość do człowieka i do jego bezpiecznego środowiska. Jest to sprzeczne z postawą czysto materialistyczną, rutynową i bezduszną.
3. **Mundur zobowiązuje.** W odbiorze społecznym jest on symbolem bezpieczeństwa, zaufania i wyróżnienia.
4. **Bądź zawsze funkcjonariuszem.** Poza służbą nadal jesteś strażakiem. Bądź gotów do podjęcia służby także wtedy, gdy masz czas wolny.
5. **Świeć przykładem uczciwości.** Nie łącz ze służbą korzyści pozasłużbowych.
6. **Bądź godnym członkiem zespołu.** Służba w straży jest pracą zespołową, w której powodzenie zależy od wszystkich.
7. **Dostrzegaj tragedię innych.** Pamiętaj, że miejsce katastrofy lub podobnego zdarzenia to często miejsce czyjejś tragedii. Zachowaj powagę, wyrozumiałość i łagodność wobec ofiar będących w szoku.
8. **Szanuj przełożonych i podwładnych.** Pamiętaj, że oprócz sprawowanej funkcji każdy jest człowiekiem.

9. **Pamiętaj o życiu rodzinnym.** Przez oddanie się trosce o bezpieczeństwo innych nie zaniedbuj potrzeb swojej rodziny.
10. **Okazuj empatię.** Jako przełożony wysłuchaj podwładnego zarówno w sprawach zawodowych, jak osobistych, udzielając mu wsparcia bądź pomocy, z zachowaniem dyskrecji.

Bibliografia

1. BENTHAM JEREMY, 1958 [1789], *Wprowadzenie do zasad moralności i prawodawstwa*, przeł. B. Nawroczyński, Warszawa, PWN
2. HÖFFE OTFRIED, 2003 [1992], *Immanuel Kant*, przeł. A.M. Kaniowski, Warszawa, Wyd. Naukowe PWN
3. KANT IMMANUEL, 1984 [1788], *Krytyka praktycznego rozumu*, przeł. J. Gałęcki, Warszawa, PWN
4. KOŁAKOWSKI LESZEK, 1977, *Mała etyka*, W: idem, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Kraków 2009, Znak, 115-170
5. MILL JOHN STUART, 1959 [1861], *Utylitaryzm*, przeł. M. Ossowska, Warszawa, PWN
6. PROBUCKA DOROTA, 1999, *Utylitaryzm. Aksjologiczno-etyczne aspekty kategorii użyteczności*, Częstochowa, Wyd. Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie
7. SCHOPENHAUER ARTUR, 2005 [1840], *O podstawie moralności*, Wydawnictwo Zielona Sowa
8. SMITH ADAM, 1954 [1776], *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*, przeł. S. Wolff, O. Einfeld, Z. Sadowski, Warszawa, PWN

DLACZEGO UCZYMY SIĘ ŚPIEWAĆ...

Wykład inauguracyjny na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina

EUGENIUSZ KNAPIK

Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach

Magnificencjo Rektorze, Wysoki Senacie, Panie i Panowie

Z nieukrywanym wzruszeniem stoję dziś przed tak znakomitym audytorium, aby podzielić się moimi poglądami i przemyśleniami na temat, wokół którego koncentruje się życie wielu z nas, a nasza obecność tutaj, w tej sali, w tej Uczelni tego dowodzi. Wiele razy wchodząc na tę estradę, miałem okazję czerpać głęboką satysfakcję z żywego kontaktu z publicznością. Kontakt taki jest zawsze niezwykle przeżyciem i najwyższą formą nagrody dla kompozytora i pianisty. Ale dziś zamiast muzyki – słowa.

Nasz udział w tak podniosłej uroczystości – dwusetnej inauguracji roku akademickiego największej polskiej uczelni muzycznej i w przededniu dwusetnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina, chcę potraktować jako okazję do głębszej refleksji nad kondycją sztuki, nad jej miejscem w życiu człowieka. To, co chcę powiedzieć – mam tego świadomość – nie jest ani łatwe, ani przyjemne. Chłodna analiza rzeczywistości sztuki i jej bezpośredniego otoczenia, poparta moimi doświadczeniami kompozytorskimi, pianistycznymi i dydaktycznymi, każe mi to powiedzieć. Zresztą, zapewne Państwo to zauważą, nie są to tylko moje słowa...

Jak wielu spośród tu obecnych, próbuję zgłębiać i rozpoznawać przy pomocy swej wyobraźni tajemniczy świat dźwięków, proporcji, znaczeń i treści zwanych muzyką. Aby pojąć mechanizmy poruszające wyobraźnię – a tylko wtedy mamy szansę na ujawnienie się aktu twórczego (również w wymiarze wykonawczym) – staram się ów świat i mechanizmy nim rządzące rozumieć. Proces formowania i powstawania sztuki – w muzyce, powtórzę jeszcze raz, rozciąga się on również na wykonawstwo – nie odbywa się bowiem w sposób zaplanowany. Dzieło w swym ostatecznym kształcie nie jest dokładnie

tym, co zostało zamierzone i tym co było chciane – jest raczej odkryciem nie tego czego się szukało, a tego na co się przypadkowo natrafiło. Procesy twórcze powstające na przecięciu się wyobraźni, intuicji i intelektu są niemożliwe do racjonalnego wytłumaczenia i pozostają od wieków nieodgadnioną tajemnicą. Friedrich Schiller powiada, że „do stworzenia czegoś nowego nie dochodzi się przy pomocy intelektu; jest to igraszka instynktu, rezultat jakiejś wewnętrznej konieczności”. Dlatego umysł, posiłkując się swymi narzędziami, często jest bezradny przy próbie rozwikłania praw i mechanizmów powstawania dzieła sztuki. Zbyt często błądzi... Sztuka jest bowiem głębsza niż doświadczenie i bogatsza niż spekulacja. Dzieło muzyczne, prawdziwe dzieło muzyczne podobne jest do płatka śniegu opadającego na otwartą dłoń człowieka – zanim zmysły zdążą go zarejestrować, a umysł zanalizować, ono rozplywa się w swej jednorazowości i nigdy już nie powraca do nas w tym samym kształcie.

Na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci byliśmy świadkami daleko idących przekształceń substancjalnych w sztuce. Zmieniła się jej funkcja, drogi percepcji i jej społeczne umocowanie. Towarzyszyły nam nieoczekiwane zawirowania od zachwytów nowością do zawodów rodem z *déjà vu*, przeżywalismy gwałtowne wolty – od fascynacji po odrzucenie, doświadczyliśmy nawet głębokiego rozdarcia pomiędzy tym co nowe, co aktualnie powstające, a tym co możliwe do przyswojenia i wyczekiwane. Nigdy też w historii nie byliśmy świadkami tak powszechnego dystansu, a nawet dezaprobaty dla nowych propozycji twórczych. Dezaprobaty, trzeba to jasno powiedzieć, nie będącej konsekwencją gwałtownych sporów estetycznych i starć ideowych, lecz braku istotnych powodów do prowadzenia takich dyskusji – braku wystarczająco uniwersalnych, poruszających i głębokich duchowo dzieł.

Przyjęło się mówić, że niemal od początku XX wieku sztuka znajduje się w fazie permanentnego kryzysu. Jednocześnie wielu twierdzi, że kryzys w tej dziedzinie jest czymś naturalnym – pojawiając się cyklicznie, stanowi źródło witalności i rozwoju. Nie sposób się z tym nie zgodzić! Ta mocno wyeksploatowana, trwająca od kilku dziesięcioleci dyskusja o kryzysie sztuki i postępującym kryzysie wartości przysłała nam i w dużej mierze zniekształca prawdziwy obraz stopniowej dezintegracji sztuki. Bo czyż stan obecny rzeczywiście nosi znamiona kryzysu? Sięgnijmy po encyklopedię... Jedna z definicji powiada, że kryzys to okres przełomu, walki, przesilenia, to decydujący i rozstrzygający zwrot. W medycynie terminem tym określa się najcięższy okres w przebiegu choroby, objawiający się zazwyczaj chwilowym, silnym pogorszeniem funkcji życiowych organizmu, po przejściu którego następuje ozdrowienie. Jeśli zgodzimy się, że definicje te możemy odnieść również do sztuki, to baczny obserwator

musi uznać, że nie istnieją żadne racjonalne przesłanki, aby stwierdzić, że ów przełom w sztuce następuje ku czemuś; nie ma żadnych sygnałów, że jest on efektem ozdrowieńczego przesilenia, wreszcie nie ma podstaw, by twierdzić, że rozstrzygający zwrot w przyszłości otworzy przed nami nowe horyzonty sztuki, tej sztuki, która swą siłę czerpie z naszej tradycji – całego dorobku kultury europejskiej. Przypomnijmy o jaką tradycję chodzi! „Sztuka to ujawnienie istnienia tego co jest”. „Istnienie tego, co jest, jest najjaśniejszym promieniowaniem, to znaczy największym pięknem, tym, co najtrwalsze samo w sobie...”. „Dzieło sztuki jest dziełem nie dlatego, że jest zrobione, wytworzone (warunki te spełnia narzędzie), ale przede wszystkim dlatego, że sprawia, iż coś istniejącego staje się bytem; jest sprawcą zjawiska, w którym wyłaniająca się siła rozbłyska”¹ (Martin Heidegger). „Waga muzyki leży w tym, że ze wszystkich sztuk ona najjaśniej ukazuje, jak sztuka, oparta na elementach zmysłowych, wibracjach akustycznych, może mieć znaczenie, którego nie ma w charakterze jej tworzywa, choć objawia się ono poprzez to tworzywo(...) Wielkość jakiegось dzieła sztuki sprawdza się – jak mówi Hermann Scherchen – jeśli nas ono przenosi, jeśli unosi nas z naszej czasowej egzystencji i trzyma w ponadczasowym napięciu uwagi. Władzy tej jednak nie zawdzięcza dzieło sztuki żadnej idei przekazywanej umysłowi w kategoriach conceptualnych, lecz bezpośredniemu oddziaływaniu na nasze zmysły wysoce i precyzyjnie zorganizowanego tworzywa”.² Wsłuchajmy się w te słowa: „...wyłaniająca się siła rozbłyska”, „...unosi nas z naszej czasowej egzystencji i trzyma w ponadczasowym napięciu uwagi” – czy w słowach tych rozpoznajemy także siebie w kontekście dzieł tworzonych w ostatnich dziesięcioleciach? Czy może próbujemy, z jakiegось powodu, zaklinać rzeczywistość, uzasadniać przed samym sobą i światem z energią godną lepszej sprawy, trwałość, wagę dzieł współcześnie powstających oraz oryginalność i ważkość kolejnych prądów? Wielokrotnie bowiem w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat okazywało się, że owe dokonania są chwilowym rozbłyskiem, efemerydą, namiastką gwałtownie rozpalającej się i gasnącej komety nie pozostawiającej po sobie materii istotnej, trwałej. Jeden z najważniejszych krytyków sztuki XX wieku Herbert Read w swym dramatycznym wystąpieniu i patetycznej próbie obrony sensu sztuki pisze tak: „Stale walczymy z pozorem i przeciw nicości jaką jest śmierć. Zawsze nam grozi duchowa i umysłowa dezintegracja, to preludium do dezintegracji fizycznej i śmierci, a sztuka jest próbą oparcia się dezintegracji. (...) Owey wielkiej inicjatywie sprzeniewierza się ustępliwa sztuka dnia dzisiejszego, sztuka, «która porzuca filozoficzne wskazówki». Owa sztuka pozbawiona koncentracji, związku,

¹M. Heidegger, *Wprowadzenie do metafizyki*, Warszawa 2000.

²Cyt. za H. Read, *O pochodzeniu formy w sztuce*, Warszawa 1973.

sztuka, która pyszni się swoją niekonsekwencją i niekoherencją, nie jest w ogóle sztuką”.³

Co się stało, że przemiany cywilizacyjne i społeczne z tak przerażającą intensywnością zdeterminowały oblicze sztuki, a sami twórcy nie znaleźli dość sił, by przeciwstawić się procesom pauperyzacji i aktom agresji wobec sztuki przez tych „którzy bezwstydnie niszczą jakiś piękny przedmiot dlatego, że nikt ich nie kocha, dlatego, że są obrażeni na świat, którego nie stworzyli”?⁴ Dziś, po czterdziestu latach, słowa Reada brzmią niemalże proroczo, szczególnie, gdy coraz silniej słychać głosy określające nasz czas jako czas post-sztuki... Życie nie znosi próżni! Jej miejsce zajmuje popkultura z fabrykami gwiazd i ideologią showbiznesu. W przeciwieństwie do sztuki, popkultura ma do dyspozycji wszystkie media i środki przekazu, zaś kontakt z nią nie wymaga żadnego wysiłku. Każdy może ją mieć na własność – jak towar, bez narażania się na wysiłek intelektualny lub duchowy. „Wiemy wszyscy, choć niejasno, czym jest popkultura – pisze Jarosław Marek Rymkiewicz. Najważniejszą cechą tego zjawiska – ogarniającego powoli całość życia europejskiego, a nawet podającego się za coś co to życie upiększa jest więc to, że ma ono zaspokajać najniższe potrzeby duchowe. Popkultura rodzi się z pogardy i z niechęci do wszelkich wyższych potrzeb ducha, więcej nawet – jej chaotyczne, dzikie wrzaski mają zagłuszyć te wyższe potrzeby, i owszem, skutecznie je zagłuszają. Projekt popkultury przewiduje, że wyższe potrzeby duchowe są niepotrzebne i wobec tego zostaną niebawem wyeliminowane”.⁵ Zapytajmy jednak siebie: czy wszechogarniająca moc popkultury nie została, w jakiejś mierze, sprokurowana przez procesy dehumanizacji i dezintegracji zachodzące w samej sztuce (przypomnę listę siedmiu cech sztuki współczesnej Ortegi y Gasset!), przez narastający w jej ciele twór zwany antysztuką, a także jednocześnie postępującą rutynizację instytucji kultury?

Sztuka jako istotna część kultury nigdy nie funkcjonowała podług praw przez siebie ustanowionych, była zawsze częścią całego systemu naczyń połączonych i struktury tworzącej wielką formację duchową nazywaną cywilizacją europejską. Opierała się na trzech filarach: rozumie, wyobraźni i duchowości, a spoiwem łączącym te elementy była filozofia. Owa triada w XX wieku się rozpadła. W wydanej w Oxfordzie w 1988 roku książce *Horror metaphysicus* Leszek Kołakowski postawił tezę, że przyczyną problemów trapiących człowieka współczesnego jest fakt, iż filozofowie ufną w nieograniczoną potęgę rozumu, uznali jako niepotrzebny balast metafizyczne pojęcie Absolutu. Dla

³H. Read, *O pochodzeniu formy w sztuce*, Warszawa 1973.

⁴Tamże.

⁵Cyt. za *Twoja Muza* nr 3/2008, Warszawa.

Kołąkowskiego źródłem i sensem metafizycznych przeświadczeń jest przede wszystkim etyka, bez której nie ma współżycia międzyludzkiego, a bez tego współżycia nie może zrodzić się i istnieć wspólnota, a więc i kultura. Kołąkowski stwierdza, że właśnie to etyczne pojmowanie jaźni zakłada, że jest ona usytuowana historycznie w ciągłości wspólnoty. Ten związek jest widoczny zwłaszcza wówczas, gdy poczucie łączności z przeszłością zamiera. „Uszanie grobów, ciał zmarłych oraz świadomość życia w ludzkiej społeczności, rozpościerającej się wstecz i w przód poza obecną generację, zanika *pari passu* z załamywaniem się realności jaźni. Im bardziej nierzeczywista staje się dla mnie historyczna wspólnota, tym mniej rzeczywistym staję się «ja» sam”.⁶ Ciągłość wrażliwości metafizycznej jest więc dla kultury czymś nieodzownym. Dalej filozof pisze: „nie ma żadnych transcendentnie obowiązujących kryteriów sensowności, ani też zniewalających powodów, by to, co sensowne, utożsamiać z tym, co empiryczne w rozumieniu współczesnej nauki”. „Nigdy nie przestaliśmy i zapewne nigdy nie przestaniemy takich pytań zadawać. Nigdy nie pozbedziemy się pokusy postrzegania świata jako tajemnego szyfru, do którego uparcie usiłujemy znaleźć klucz. (...) Krótko mówiąc, nie możemy zgłębić tajemnicy i obrócić jej w wiedzę, lecz ważne wiedzieć, że mamy z nią do czynienia.”⁷ Pozbawiona metafizycznego zaczepienia kultura przestaje być sobą, a wyzbywając się metafizycznej wiary i etycznych hamulców, skazuje siebie „na zanik samych pojęć dobra i zła”. Tam zaś gdzie nie ma etyki, tam kultura nie może się rozwijać i przetrwać. Kołąkowski w innym miejscu napisze wręcz: „Kultura, która traci sens *sacrum*, traci sens całkowicie.”⁸ Wczytując się w te słowa, dokonajmy sami wyboru, czy znajdujemy się po stronie usiłujących znaleźć „klucz do tajemnego szyfru”, czy też po stronie ustepliwej sztuki dnia dzisiejszego, „która porzuca filozoficzne wskazówki”.

Świat współczesny, który przecież sami tworzymy, zdaje się mówić, że sztuka jest zjawiskiem bez którego można spokojnie się obyć, chępiąc się zdolnościami ludzkiego umysłu oferującego nam scjentystyczny obraz świata – obraz zamykający nas w „ludzkiej skórze”. Ponadto jesteśmy dumni z faktu, że żyjemy w świecie globalnym, w świecie informacji i wolności mediów. Żyjemy także w świecie, w którym to właśnie środki masowego przekazu w znacznym stopniu kształtują osobowość człowieka, w świecie nasyconym sztucznie optymistyczną ideologią sukcesu osobistego. Ideologia ta jednak niesie równocześnie lęki, pustkę, apatię i agresję, narażając nas na generalną utratę poczucia rzeczywi-

⁶L. Kołąkowski, *Horror metaphysicus*, Oxford 1988.

⁷Tamże.

⁸Cyt. wg Adam Zagajewski, *Obrona żarliwości*, Kraków 2002.

stości. Tak uformowany świat potrzebuje i karmi się popkulturą, prawdziwa sztuka jest *persona non grata*, bo demaskuje jego nicość.

Jeden z najwybitniejszych dziennikarzy ostatnich dekad Ryszard Kapuściński w swej ostatniej książce *Nie ogarniam świata* tak charakteryzuje epokę informacji: „Dawno temu, na początku wieku, informacja skupiała się na poszukiwaniu prawdy i indywidualizacji tego co działo się naprawdę (...). W przypadku informacji prawda była podstawową wartością. W drugiej połowie XX wieku, dzięki rewolucji elektronicznej i komunikacyjnej, świat biznesu odkrył, że prawda nie jest tak istotna; tym co ważne w informacji, stał się spektakl (...) im bardziej widowiskowy, tym więcej pieniędzy można zarobić. W ten sposób informacja oddzieliła się od kultury (...) Przeciętny obywatel jest skazany na taką wiedzę o otaczającej go rzeczywistości, jaką daje mu telewizja. Kiedyś działał wydział propagandy Komitetu Centralnego (...) teraz tworzy się światowy Komitet Centralny z globalnym wydziałem kultury, który będzie ustalał, co ma świat oglądać, co świat ma wiedzieć o świecie. Media coraz częściej nie pokazują rzeczywistości, ale ją tworzą. Nasz obraz świata jest w coraz mniejszym stopniu naszym własnym obrazem”.⁹ W tak zmanipulowanej rzeczywistości zupełnie gubi się przestrzeń dla kultury – zaciera się i zanika granica samych pojęć prawdy i kłamstwa. W świecie wirtualnym manipulacja nazywana jest informacją, oszustwo i oszczerstwo określa się jako skuteczność, kłamstwo i potwarz – chronione są przez ideologię wolnych mediów, nieuprawnione podszywanie się pod wartości – to promocja i reklama. Postmodernistyczna rzeczywistość, również w sztuce, będąca na usługach bożka zysku unicestwia, albo chce unicestwić prawdę jako osobną wartość życia, samodzielny i prawomocny cel; uważa prawdę w znaczeniu tradycyjnym jako przesąd, który powinien zaniknąć; „wmawia nam ona, że czas i wysiłek na próżno tracimy, miast się trudzić zadaniami realnymi, mianowicie tym, jak życie weselszym uczynić”.¹⁰ Sztuka, nie opierając się zbyt tym wpływom, cynicznie kupiona płaci haracz – stając się ich częścią, rozpoczyna niebezpieczny pakt z silniejszym. Jakże często – moim zdaniem – sztuka paktując z postmodernistyczną rzeczywistością, okazuje się być czymś nieważkim, nieprawdziwym, podkreślając niejednokrotnie swoją błahość i powierzchowność.

W swej niezwyklej, wydanej w 2004 roku książce pt. *Koniec sztuki* Donald Kuspit pisze: „Najwyraźniej, sztuka, kontemplacja estetyczna, piękno, wieczność i wolność są *passé* w świecie pełnym wartości względnych i technicznej konieczności. W sztuce postmodernizmu panuje atmosfera apatii. (...) staje się

⁹R. Kapuściński, *Nie ogarniam świata*, Warszawa 2007.

¹⁰L. Kołakowski, *Horror metaphysikus*, Oxford 1988.

ona pusta, bo już nas nie uwodzi i nie zachęca do życia, sprawiając, że wydaje się barwne. W tych czasach sztuka stała się raczej kolejnym, wpędzającym w depresję, sposobem spędzania czasu niż sięgania poza czas. Już nie jest rozpoznana przez Van Gogha drogą do zbawienia, lecz potwierdza, że życie jest skazane na porażkę, ponieważ nie ma sensu. Przez to bezsensowna okazuje się również sztuka, nie mogąc zrobić niczego, by ratować życie przed samym sobą. Dzisiejsza postsztuka uwodzi nas do śmierci, a nie do życia. (...) Zaiste, wydaje się, że zatrzasnęła ona i zaryglowała bramę, jakby chciała powiedzieć nam, że nie ma czegoś takiego, jak dziedzina ducha (...), zaś współczesny sceptycyzm odmówił możliwości widzenia w Bogu czegokolwiek innego niż abstrakcji, być może nieistniejącej.”¹¹ „Czy ziściło się więc to – pyta dalej Kuspit – czego obawiał się William Blake w 1820 roku?” „Tam, gdzie jest jakikolwiek widok na pieniądze, nie da się dalej uprawiać sztuki” – głosi napis na rycinie Laokoona. Siedemdziesiąt lat później Gauguin pisał: „W Europie szykuje się straszna epoka dla następnego pokolenia: królestwo złota. Wszystko jest przegnile, nawet ludzie, nawet sztuki”.¹² Kiedyś o artyście myślano jak o kimś świętym – miał w sobie iskrę boskiej inwencji – dziś artysta jest biznesmenem profanującym wszystko co święte i twórcze przez wyznaczenie na nie ceny. Powstająca bezwstydną sztuka, dla zaspokojenia najbardziej prymitywnych oczekiwań i gustów znudzonej publiczności, dla zaspokojenia jej żądzy destrukcji, wynosi do wartości dzieła wszystko, co jest odpadem ludzkiej egzystencji – nawet ekskrementy.

Przytoczę, za Kuspitem, fragment na pozór zabawnego artykułu, który ukazał się w 2001 roku w *New York Times*: „Instalacja, którą popularny artysta brytyjski Damien Hirst zmontował w oknie galerii na nowojorskiej Mayfair we wtorek, została rozmontowana i wyrzucona tej samej nocy przez sprzątacza, który myślał, że to śmieci. Praca – zbiór do połowy wypełnionych kubków kawy, popielniczek z niedopałkami, butelek po piwie, palety umazanej farbą, sztalugi, drabiny, pędzli, papierków od cukierków i gazet rozrzuconych po podłodze – była centralnym punktem wystawy sztuki pokazywanej w galerii Eyestorm, na imprezie przedpremierowej dla VIP-ów... Pan Hirst, lat 35, czołowy członek pokolenia artystów konceptualnych znanych jako Młodzi Brytyjcy Artyści, kazał pracę złożyć, po czym ją podpisał. Heidi Reitmaier, kierownik projektów specjalnych w galerii, określiła jej cenę liczbą sześciocyfrową, czyli na setki tysięcy dolarów. Wyjaśniła przy tym, że to oryginalny Damien Hirst... Sprzątacze, Emmanuel Asare, lat 54, powiedział gazecie *The Evening Standard*: «Gdy tylko to zobaczyłem, westchnąłem, bo był taki bałagan. Dla

¹¹D. Kuspit, *Koniec sztuki*, Gdańsk 2006.

¹²Tamże.

mnie to nie za bardzo wyglądało jak sztuka. No więc wrzuciłem to wszystko do worków i wywaliłem na śmieci». Pan Hirst, wcale nieprzejęty pomyłką, uznał wiadomość za «historycznie zabawną» natomiast pani Reitmaier powiedziała: «ponieważ cała jego sztuka traktuje o związku między sztuką a codziennością, śmiał się głośniejsz niż wszyscy inni»¹³. Podobno, że dziś te prace wyceniane są na dziesiątki milionów dolarów!

Żyjemy w „historycznie zabawnych” czasach. Stopniowo, przez cały XX wiek sztuka skutecznie wyrzucała za burtę swych zainteresowań wszystko to, co do tej pory utożsamialiśmy z wartościami pierwszymi. Wyrzuciła Boga, zakwestionowała kategorię prawdy jako najważniejszego punktu odniesienia sztuki, odrzuciła poszukiwanie piękna będącego dotąd naczelnym celem sztuki, zarzuciła jako niemożliwą do zaakceptowania praktykę przeżycia metafizycznego i doznania estetycznego, skupiając swą uwagę na taniej dydaktyce codzienności. Muzyka zaś zaprzestała afirmacji miłości, zrezygnowała z harmonii, melodii i porządkującego czas muzyczny rytmu, wreszcie zdekomponowała formę... W to miejsce, jako że życie nie znosi próżni, sztuka, na znak związku między nią i życiem, wysoko wyceniając ów związek – w dziesiątkach milionów dolarów – proponuje kupę śmieci. Dość! Już nie chcę tego więcej słuchać! – powie część Państwa. Wolimy przecież robić to, co robiliśmy do tej pory: grać, ćwiczyć, startować w konkursach, występować na estradzie itd. Rozumiem to! Niestety, nie wolno nam zamykać się, nie wolno nam uciekać od rzeczywistości i poddać się zgubnemu złudzeniu, że nas ona nie dotyczy. Musimy się z nią mierzyć i stanąć twarzą w twarz! To nam bije dzwon...

„Dlaczego uczymy się śpiewać...” Ciekawa z socjologicznego punktu widzenia byłaby odpowiedź na takie pytanie. Zadał je Lwu Tolstojowi dziesięcioletni chłopiec podczas wspólnej przechadzki. Chłopiec był podniecony przeczytanym na lekcji opowiadaniem Ignacego Gogola relacjonującym zbrodnię. Noc była bezksiężycowa, pochmurna, leżał śnieg. „Nagle Fiedka, chłopak delikatny, wrażliwy i poetycki zapytał: «Dlaczego uczymy się śpiewać? Naprawdę, często myślę, dlaczego?»” Tolstoj tak to komentuje: „Bóg jedyny wie, co sprawiło, że przeskoczył myślą od strasznego morderstwa do tego pytania”. „A po co jest rysowanie? I dlaczego trzeba dobrze pisać?” – zapytał Tolstoj, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na pytanie chłopca. „Po co jest rysowanie?” – powtórzył chłopiec, a Tolstoj dodaje: „W gruncie rzeczy pytał: Po co jest sztuka? A ja nie umiałem mu wytłumaczyć”. Dopiero trzydzieści siedem lat później w książce *Co to jest sztuka?* spróbował ów tajemniczy związek między pięknem a prawdą, między sztuką a życiem wyjaśnić. Zdawał sobie sprawę, że jest to związek bardzo głęboki, że istnieje jakaś ścisła zależność między pięknem

¹³D. Kuspit, *Koniec sztuki*, Gdańsk 2006.

a przemocą, między miłością a śmiercią.”¹⁴ Pod koniec swego życia Tolstoj napisał: „...sztuka nie jest ozdobnym dodatkiem do życia, nie jest przyjemnością, pociechą ani zabawą. (...) Sztuka pełni w życiu człowieka funkcję przenoszenia rozumnej percepcji w uczucie.”¹⁵

Dzisiaj pewnie odpowiedź sformułowalibyśmy nieco inaczej. Lecz co rzeczywiście mamy do powiedzenia światu, starając się usilnie uzasadnić swoje istnienie!? Czy jesteśmy mu potrzebni, dlaczego świat ma nas słuchać, mamy mu coś ważnego do przekazania? Nie zamieniliśmy przypadkiem tego co wielkie, niepowtarzalne i jednorazowe w kreacjach artystycznych, na perfekcyjne pod względem technicznym, bo tego żądali producenci i przemysł fonograficzny? Perfekcyjne, ale często puste, pozbawione ludzkiego rysu. „Produkując” niczym w hali produkcyjnej, za pomocą obrabiarki, przycinającej, wygładzającej i szlifującej produkt, nieskazitelny przedmiot: nagranie muzyczne – zimne jak sztuczny brylant. Czy konsekwencją nie jest dziwna zależność: coraz więcej świetnych nagrań i wykonawców, ale coraz mniej chce się ich słuchać, coraz rzadziej muzyka staje się rozmową, intymnym związkiem twórcy i odbiorcy?

A co się takiego stało, że w II połowie XX wieku zakwestionowaliśmy, po raz pierwszy w dziejach muzyki, zasadę adekwatności interpretacji dzieła muzycznego do daty jej powstania. Obowiązująca dotąd zasada ścisłego związku interpretacji z czasem, w którym żyje wykonawca, jego bagażem przeżyć i doświadczeniem związanym z percepcją świata jemu współczesnego oraz właściwymi dla tego świata narzędziami, została zastąpiona tzw. *praktyką wykonawczą muzyki dawnej*. Zakwestionowana została rudymmentarna zasada dzieła muzycznego: jego uniwersalność i ponadczasowość wymagająca interpretacji zgodnej z duchem czasu i doświadczeniami epoki, w której jest wykonywane – a nie w której zostało stworzone. Czy podejmując się tych praktyk, chcieliśmy powiedzieć: już nie mamy nic do dodania, możemy jedynie kopiować? Jest to pułapka o trudnych do przewidzenia konsekwencjach.

Mam wrażenie, jakbyśmy gdzieś uciekali – uciekali od samych siebie: to w przeszłość, to w inne kultury, to w świat wirtualny. Czy nie pora zatrzymać się – może nie jest jeszcze za późno? Tak naprawdę, ilość spraw leżących w kręgu zainteresowań i inspiracji sztuki była zawsze niewielka. Należały do nich – powtórzę za Pociemem – impulsy metafizyczne, przeżycia i doznania religijne, poszukiwanie *sacrum*, doświadczenie miłości i intensywnego życia uczuć, oczarowanie pięknem świata i natury, poszukiwanie piękna i proporcji,

¹⁴Cyt. za H. Read, *O pochodzeniu formy w sztuce*, Warszawa 1973.

¹⁵L. Tolstoj, *Co to jest sztuka?*, Warszawa 1901.

współodczuwanie dramatu i tragedii ludzkiej. To jest właśnie fundament sztuki, który od wieków był podstawą naszego śpiewu. Śpiew ów był świadectwem naszych radości i tęsknot, zadziwień i słabości; wynosił nas poza horyzont doraźności i doczesności naszego bytu, pomagał znosić cierpienie, dawał siłę. Może nauczmy się go na nowo...

Na koniec przytoczę słowa Mahatmy Gandhiego. Wskazuje on na trzy przestrzenie życiowe kosmosu – i jak każda z nich określa sposób istnienia żyjących w niej stworzeń. „W morzu żyją ryby, które milczą. Zwierzęta naziemne krzyczą; ptaki natomiast, których przestrzenią życiową jest niebo, śpiewają. Morzu właściwe jest milczenie, ziemi krzyk, a niebu śpiew. Człowiek ma zaś udział we wszystkich trzech sferach: nosi w sobie głębię morza, ciężar ziemi i wysokość nieba, i dlatego też łączy w sobie wszystkie trzy właściwości: milczenie, krzyk i śpiew. Dzisiaj widzimy, jak pozbawionemu poczucia transcendencji człowiekowi pozostaje tylko krzyk, ponieważ chce on być już tylko ziemią i usiłuje uczynić swoją ziemią nawet niebo i głębinę.”¹⁶ Słowa te odniósł w swym komentarzu kardynał Ratzinger do liturgii. My zaś odnieśmy je do sztuki: „Prawdziwa sztuka przywraca człowiekowi całość. Uczy go na nowo milczenia i śpiewu, otwierając przed nim morskie głębiny i przyswajając mu umiejętność lotu, wznosząc ku górze jego serce sprawia, że umilkła pieśń odzywa się w nim na nowo. Wyzwala nas od powszechności i przywraca nam głębię i wysokość, ciszę i śpiew.” Otwórzmy się na Nią!

¹⁶Cyt. za Joseph Ratzinger, *Nowa pieśń dla Pana*, Kraków 1999.

ZNACZENIE I ZASTOSOWANIE NAWIGACYJNYCH SYSTEMÓW SATELITARNYCH W NAUCE, GOSPODARCE I TECHNICIE WOJSKOWEJ XXI WIEKU

Wykład inauguracyjny na Wojskowej Akademii Technicznej
im. Jarosława Dąbrowskiego

MARIUSZ FIGURSKI

Wojskowa Akademia Techniczna

*„Każdemu człowiekowi dany jest klucz
do bram niebios, ten sam klucz otwiera
też wrota piekiel.”*

Richard P. Feynman

Wnikliwy obserwator życia codziennego szybko spostrzeże, że symbolami obecnych czasów jest telefon komórkowy, a drugim, coraz powszechniej używanym jest tzw. „nawigacja samochodowa”. „Nawigacja samochodowa” to nazwa potoczna, za którą kryje się system nawigacji satelitarnej GPS. System GPS to potężne narzędzie nawigacyjne wykorzystywane w różnych sektorach gospodarki, nauki i obronności państwa. Dzisiejszy wykład przybliży problematykę nawigacyjnych systemów satelitarnych z punktu widzenia historii, pokaże obszary zastosowań, wady i zalety użytkowania oraz nakreśli ich rozwój w najbliższej przyszłości.



Krótką historia nawigacyjnych systemów satelitarnych

Era nawigacji satelitarnej rozpoczęła się w drugiej połowie dwudziestego wieku wraz z wyniesieniem w przestrzeń kosmiczną pierwszego sztucznego satelity ziemi. W laboratoriach Uniwersytetu Johna Hopkinsa prowadzono nasłuch transmisji radiowej na częstotliwości 20 MHz, którego celem było rozkodowanie sygnałów telemetrycznych nadawanych z satelity Sputnik 1. Zwrócono uwagę na zmiany częstotliwości, której źródłem było zjawisko Dopplera, wywołane ruchem satelity względem miejsca pomiaru. Na podstawie obserwacji odchyłen częstotliwości sygnałów zostały po raz pierwszy wyliczone parametry ruchu sztucznego satelity Ziemi. Niewątpliwie te przypadkowe obserwacje stały się pretekstem budowy pierwszego globalnego systemu nawigacji satelitarnej wykorzystującego efekt Dopplera, który został opracowany dla marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych (US Navy) przez ten sam zespół z Uniwersytetu Hopkinsa, a znanym pod nazwą TRANSIT. Pierwsze pomysły testy systemu wykonano już w 1960 r., ale dopiero w 1967 r. został udostępniony dla użytkowników cywilnych. W wersji operacyjnej system składał się z 10 satelitów operacyjnych oraz 5 zapasowych i działał nieprzerwanie do 31 grudnia 1996 r. Specjalnie dla systemu TRANSIT opracowano szereg nowych technologii, m.in. stabilizacji częstotliwości, synchronizacji odbiornika z zegarem satelity za pomocą danych efemerydalnych czy kontroli i korekcji działania układów nawigacyjnych satelity przez naziemne stacje kontrolne. Satelity emitowały sygnały na dwóch częstotliwościach 150 MHz i 400 MHz. Ich dane były uaktualniane dwa razy dziennie, przy okazji odbioru danych telemetrycznych przez stacje kontrolne. Dokładność nawigacyjna systemu była stopniowo polepszana od 900 m w roku 1962, 185 m w 1969, do 36 metrów w roku 1971, natomiast geodezyjna, wykorzystująca kilka lub kilkanaście przeleotów satelitów w czasie kilku godzin dochodziła do kilku decymetrów w układzie globalnym. Podkreślić należy, że w Polsce bardzo intensywnie rozwijano technologie pomiarowe związane z systemem TRANSIT, czego wynikiem był dopplerowski odbiornik geodezyjny (DOG) opracowany i zbudowany przez naukowców z Centrum Badań Kosmicznych PAN. Polscy geodeci wykorzystywali odbiorniki dopplerowskie do zakładania osnów geodezyjnych na terenie kraju i poza jego granicami.

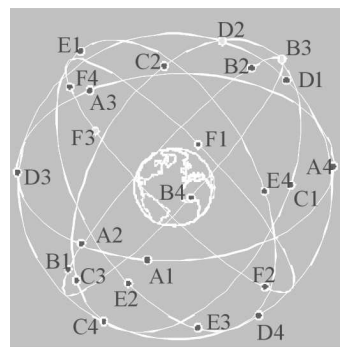
W maju 1967 roku marynarka USA umieściła na orbicie pierwszego satelitę serii TIMATION. Projekt TIMATION od 1973 roku połączono z projektem systemu USAF 621B, które dały początek systemowi DNSS (*Defense Navigation Satellite System*). Trzeci satelita DNSS był demonstratorem systemu GPS (*Global Positioning System*) *Navstar*. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku pojawiły się informacje o systemie

nawigacyjnym GLONAS, który zarządzany jest przez Federację Rosyjską. Budowany jako odpowiednik systemu GPS nie był jednak szeroko wykorzystywany komercyjnie. Z uwagi na warunki techniczne jest systemem o mniejszych możliwościach rozwoju, co szczególnie uwydatniło się pod koniec lat 90. dużym spadkiem wydajności systemu. Obecnie zgodnie z nowym dekretem prezydenckim (z dnia 18.05.2007 r.) system jest intensywnie modernizowany i w perspektywie przeznaczony do wykorzystania komercyjnego i wojskowego. Dodatkowo opracowany został nowy plan modernizacji systemu, którego realizacja przewidziana jest na lata 2012-2020.

System Navstar GPS – budowa i zasada działania

System nawigacji satelitarnej budowany od lat 80. ubiegłego stulecia pierwotnie opracowany był dla potrzeb wojskowych. Z uwagi na swoją wyjątkową funkcjonalność polegającą na globalnym zasięgu i całkowicie automatycznych pomiarach położenia znalazł on powszechne zastosowanie w aplikacjach „cywilnych” stając się niejednokrotnie podstawowym narzędziem w wielu urządzeniach częstokroć związanych z bezpieczeństwem ludzi.

Zasada działania systemu GPS oparta jest na pomiarze drogi przebytej przez sygnał elektromagnetyczny od satelity poruszającego się po ściśle zdefiniowanej orbicie do anteny odbiornika. Lokalizacja obiektów na powierzchni Ziemi polega na określeniu czasu potrzebnego fali elektromagnetycznej na przebycie drogi między satelitą a użytkownikiem. Dlatego też zegary i system czasu jest głównym czynnikiem determinującym dokładność wykonanych pomiarów. Z tego powodu systemy nawigacji satelitarnej często określane są jako PNT – *Position Navigation Time*. Budowa systemu GPS oparta jest na konstelacji wyspecjalizowanych satelitów (segment satelitarny) podlegających ciągłej kontroli poprzez stacje naziemne (segment kontroli) przekazujące do satelitów dane niezbędne dla utrzymania dokładności wyznaczanych współrzędnych przez użytkowników (segment użytkowy).



Segment kosmiczny GPS składa się z 24 satelitów, w tym 3 aktywnych satelitów zapasowych. W praktyce, ilość dostępnych satelitów przekracza tę liczbę i tak w 2008 roku konstelacja zawiera 32 satelity gotowe do pracy. Satelity rozmieszczone są na sześciu orbitach prawie kołowych, po cztery na

każdej, na wysokości około 20200 km. Płaszczyzny orbit nachylone są pod kątem ok. 55 stopni do równika. Czas obiegu orbity jest równy połowie doby gwiazdowej. Obserwator na Ziemi zaobserwuje tę samą konstelację satelitów codziennie, o prawie tej samej porze. Każdego dnia powtarza się ona o cztery minuty wcześniej z powodu różnicy pomiędzy długościami doby słonecznej i gwiazdowej. Satelity rozmieszczone są tak, iż co najmniej 5 z nich powinno być widocznych z każdego punktu Ziemi z prawdopodobieństwem 0.9996. Taka konfiguracja umożliwia, z małymi wyjątkami, wyznaczenie współrzędnych dowolnego miejsca na powierzchni Ziemi w dowolnym momencie doby z dokładnością odpowiednio dla zastosowań militarnych rzędu 1, a cywilnych ok. kilkunastu metrów.

Bezpieczeństwo i obronność – zastosowania militarne Navstar GPS

Globalny System Pozycjonowania (GPS, *Global Positioning System*) został zaprojektowany dla celów wojskowych i wywiadowczych w szczytowej fazie zimnej wojny w latach 60. Mimo olbrzymiej ilości implementacji cywilnych, system w dalszym ciągu posiada specyficzne tylko wojskowe zastosowania, które nie są powszechnie udostępniane. Podstawowym elementem podlegającym limitowanej dystrybucji jest dostęp do sygnału określanego jako P(Y) przeznaczonego tylko dla licencjonowanych odbiorców, dającego możliwość udoładnienia danych oraz zapewnienia większej skuteczności działania systemu. Siły Zbrojne RP, podpisując w 2002 roku umowę wielostronną określaną jako MoU nr 4, której sygnatariuszami były wszystkie państwa NATO, otrzymała możliwość dostępu do kodu P(Y) na ściśle określonych zasadach, wspólnych dla wszystkich członków NATO.

Zastosowanie wojskowe tego systemu można określić w następujących zakresach:

- ustalanie pozycji,
- kierowanie systemami uzbrojenia,
- synchronizacja systemów uzbrojenia – wydane zostały specjalne dyrektywy, aby wyposażać wszystkie, ważniejsze systemy uzbrojenia w odbiorniki GPS.

Mimo szeregu ograniczeń system GPS stanowi wielokrotnie podstawowe urządzenie wspomagające zadania militarne. Jednym z nich jest transfer sygnału czasowego synchronizującego systemy komunikacyjne. Oczywiście system GPS nie stanowi jedynego źródła danych czasowych, lecz zabezpieczenie



właściwego poziomu synchronizacji czasowej bez użycia odbiornika GPS jest bardzo kosztowne, a wprowadzane jest tylko w bardzo ważnych węzłach sieci, głównie jako alternatywne źródło danych synchronizujących.

Drugim istotnym zastosowaniem systemu GPS mającym wpływ na realizowane działania wojskowe jest utrzymywanie jednolitego system odniesienia pozycji. W tym względzie dostęp do sygnałów P(Y) na tym samym poziomie dokładności zapewnia, że wszyscy uczestnicy operacji połączonych będą odnosili meldunki i rozkazy do tego samego systemu geoprzestrzennego. Zapewnia to koordynację prowadzonych operacji nawet przy wyłączonym podstawowym sygnale C/A, eliminując jednocześnie dostęp dla nieuprawnionych odbiorników mogących stanowić wyposażenie przeciwnika.

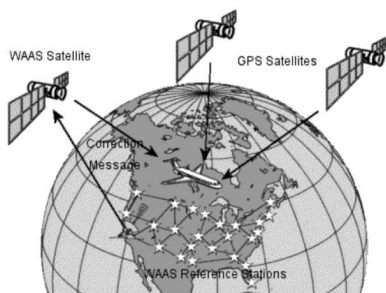
Duże znaczenie systemu nawigacji satelitarnej dla prowadzonych operacji militarnych jest powodem, że system ten jest w dalszym ciągu modernizowany w kierunku zwiększenia dostępności danych PNT nawet w trudnych warunkach zewnętrznych i w środowisku silnych zakłóceń elektromagnetycznych.

Systemy wspomagające GNSS

Nawigacyjne systemy satelitarne są obarczone szeregiem błędów systematycznych, które ograniczają możliwość jego wykorzystania, a przede wszystkim zmniejszają niezawodność. Ograniczenia można wyeliminować stosując rozwiązania różnicowe i zewnętrzne systemy wspomagania.

Najczęściej spotykanym rodzajem wspomagania zewnętrznego są systemy różnicowe DGPS i RTK, których ideą jest synchroniczne wykorzystanie obserwacji z co najmniej dwóch odbiorników danego systemu. Skuteczność systemu różnicowego ulega pogorszeniu, gdy stacja bazowa i odbiornik ruchomy korzystają z różnych satelitów. W takim przypadku błędy niektórych pomiarów w odbiorniku ruchomym nie są kompensowane. Sytuacja taka z reguły wy-

stępuje przy bardzo dużej odległości stacji referencyjnej od odbiornika ruchomego. Innym problemem jest różnica czasu między wyznaczeniem poprawki różnicowej na stacji referencyjnej i jej odbiorem przez odbiornik ruchomy, która nie powinna przekraczać 1,5 s.



Rozwiązanie wspomnianych problemów prowadzi do różnych koncepcji systemów, w których rozróżnić można układy naziemne GBAS (*Ground-Based Augmentation Systems*) oraz układy satelitarne SBAS (*Satellite Based Augmentation Systems*). W układach naziemnych odbiornik odbiera poprawki od nadajnika umieszczonego na powierzchni Ziemi, a w satelitarnych poprawki do odbiorników

ruchomych transmitowane są za pośrednictwem satelitów geostacjonarnych. Jako przykład satelitarnego systemu wspomagania można podać amerykański system WAAS i europejski EGNOS, którego jedna ze stacji znajduje się w Warszawie. Głównym celem systemów SBAS jest podniesienie niezawodności pomiaru oraz zwiększenie dokładności wyznaczenia współrzędnych w czasie rzeczywistym, bez stosowania kodów wojskowych. Nowe możliwości otwiera zastosowanie naziemnych systemów wspomagania, które potocznie nazywane są sieciami stacji referencyjnych GNSS.

Sieci stacji referencyjnych w zależności od obszaru, jaki obejmują, dzielą się na globalne, regionalne i lokalne. Te ostatnie nazywane są również systemami narodowymi. Różne są również ich funkcje.



Globalne służą do realizacji ogólnosiwiatowego systemu odniesienia (WGS 84, ITRF), pozwalają na wyznaczanie efemeryd satelitarnych z dokładnością poniżej 5 cm oraz służą do monitorowania parametrów ruchu obrotowego Ziemi. Natomiast regionalne stanowią zagęszczenie sieci globalnych i służą do realizacji systemu odniesienia dla określonego kontynentu lub części kontynentu. Na obszarze Europy taką rolę pełni sieć EPN, która działa od 1996 roku. Jej zagęszczeniem są lokalne sieci stacji referencyjnych. W Polsce taką rolę pełni sieć ASG-EUPOS. Jest ona tzw. siecią wielofunkcyjną, która udostępnia usługi wspomagania w czasie rzeczywistym (RTK) i po zakończeniu obserwacji tzw. „postprocesing”. W skład systemu ASG-EUPOS wchodzi ok. 100 stacji referencyjnych, wśród nich jest stacja WAT1 Wojskowej Akademii Technicznej.



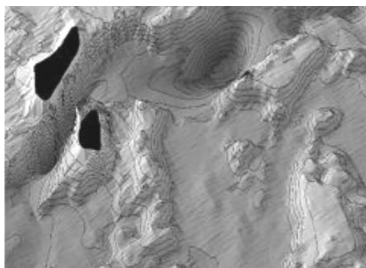
Zastosowania systemów GNSS

Systemy GNSS w tym głównie GPS stosowany jest w różnych dziedzinach gospodarki i nauki. Nie sposób wymienić wszystkich zastosowań, dlatego przybliżone zostaną te najważniejsze z punktu widzenia praktycznego ich wykorzystania:

- Archeologia – ewidencja stanowisk archeologicznych, sporządzanie map.
- Budownictwo przemysłowe – tyczenie, kontrola przemieszczeń i deformacji.
- Eksploatacja dróg – rejestracja stanu nawierzchni, ewidencja uszkodzeń i ograniczeń przejazdu, mapy natężenia oświetlenia.



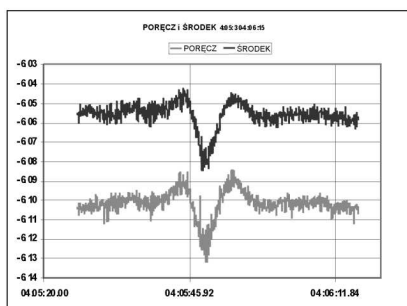
- Energetyka – ewidencja obiektów energetycznych (stacji i linii przesyłowych, transformatori), mapy linii przesyłowych, lokalizacja awarii.
- Geodezja i geodynamika – określanie współrzędnych punktów, zakładanie sieci geodezyjnych wszystkich klas, wyznaczanie wektorów przesunięć kontynentów (z dokładnością centymetrową i wyższą), niwelacja satelitarna, GIS, LIS, kataster, badanie ruchu obrotowego Ziemi, ruchu bieguna, pływów, wyznaczanie parametrów pola grawitacyjnego Ziemi.
- Kolejnictwo – mapy tras i obiektów kolejowych, badanie stanu torowisk, śledzenie ruchu i rejestracja przebiegów i manewrów pociągów, dystrybucja dokładnego czasu, określanie prędkości pociągów, podstawowe zadania dyspozytorni ruchu, ostrzeganie o ruchu na przejazdach kolejowych.
- Batymetria – mapy dna morskiego, basenów portowych, akwenów śródlądowych i dróg wodnych (łącznie wykorzystanie pomiarów GPS i sonowania).



- Ratownictwo morskie – lokalizacja katastrof morskich, ustalanie położenia wraków, kierowanie akcjami poszukiwawczymi.
- Fotogrametria – rejestracja współrzędnych środków rzutów kamery w momencie wykonywania zdjęć.
- Nawigacja w rejonie lotnisk – wspomaganie administrowania ruchem lotniczym na pasach startowych.

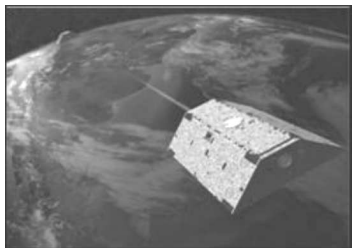


- Ratownictwo lotnicze – lokalizacja miejsc katastrof i poszukiwanie ich ofiar, lotnicze pogotowia medyczne, zdalne kierowanie akcjami poszukiwawczymi.
- Monitoring strukturalny – nowe rozwiązanie pomiarowe opracowane przez zespół Centrum Geomatyki Stosowanej Wydziału Inżynierii Lądowej i Geodezji Wojskowej Akademii Technicznej polegające na wykorzystaniu systemu satelitarnego pozycjonowania GNSS do badania przemieszczeń i odkształceń konstrukcji obiektów budowlanych. Umożliwia to detekcję zmian geometrycznych konstrukcji z częstotliwością do 20 Hz i dokładnością subcentymetrową. Prowadzone testy wykonane w warunkach laboratoryjnych i na rzeczywistych obiektach potwierdzają wysoką użyteczność rozwiązania stanowiącego silną alternatywę dla tradycyjnych metod pomiarowych, np. konstrukcji mostowych.



Nawigacja kosmiczna – nowe obszary zastosowań

Określenie trajektorii orbit za pomocą systemów GNSS, analiza dynamiki ruchów satelitów w polu grawitacyjnym, określenie orientacji satelitów z wykorzystaniem 4 anten odbiorczych GPS (międzynarodowa stacja kosmiczna).



System GPS został zastosowany do nawigowania szeregu misji satelitarnych serii LEO (ang. *Low Earth Orbits*) np. TOPEX, CHAMP, GRACE, GOCE. Dokładność wyznaczenia efemeryd waha się odpowiednio dla składowej radialnej na poziomie ok. 2 cm oraz wzdłużnej i normalnej ok. 3 cm.

Zastosowania naukowe

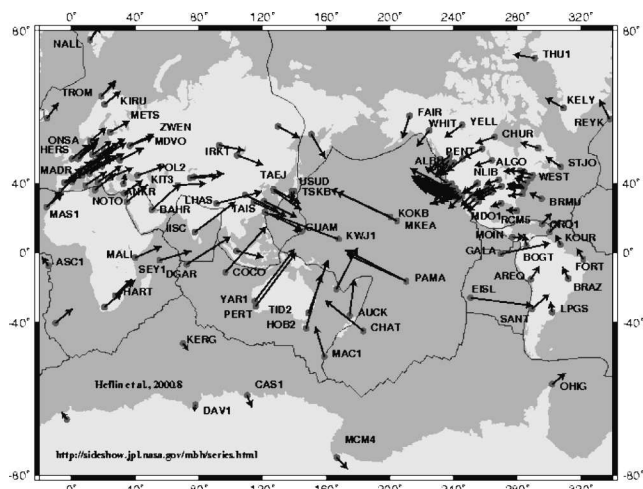
Całkiem odmiennym jest obszar zastosowań naukowych. Nawigacyjne systemy satelitarne nie tylko służą do wyznaczania pozycji i jej zmian w czasie. Odbiorniki GPS są stosowane także przez naukowców i inżynierów podczas eksperymentów naukowych oraz w czasie monitorowania aktywności geologicznej, np. wstrząsów skorupy ziemskiej, trzęsień ziemi oraz aktywności wulkanicznej. Strategicznie rozmieszczone urządzenia GPS mogą ułatwiać naukowcom śledzenie zmian klimatycznych oraz innych zjawisk przyrodniczych. Zastosowania naukowe można podzielić na dwa obszary metrologii oraz geofizyki i geodynamiki.

W metrologii systemy GNSS służą do:

- Wyznaczania geodezyjnego systemu odniesienia i skali czasu. Ten aspekt wykorzystania szczególnie jest ważny dla systemów synchronizacji czasu. Wśród metod synchronizacji i transferu czasu z wykorzystaniem GPS najbardziej rozpowszechnioną jest metoda Common-View – pomiar różnicy czasu między sygnałem i zegarem lokalnym. W prezentowanej metodzie badania skupiają się na trzech problemach: wyeliminowania wpływu niestabilności zegara satelitarnego, niedokładności efemeryd satelitarnych i opóźnień propagacyjnych w jonosferze i troposferze. W planach jest przesyłanie różnicy TAI i UTC.
- Opracowanie metod wykorzystania układów odniesienia.

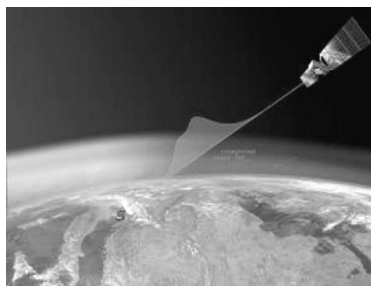
W geofizyce i geodynamice systemy GNSS wykorzystuje się do:

- Wyznaczania modelu Ziemi, monitorowania ruchu bieguna i stacji śledzących systemów GBAS. Pozwala to śledzić ruch pojedynczych punk-



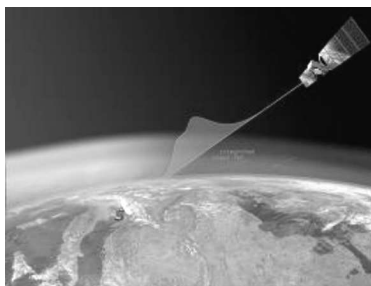
Prędkości punktów globalnej sieci stacji referencyjnych GNSS. Wyznaczone wektory prędkości pokazują ruch wszystkich płyt kontynentalnych na powierzchni Ziemi

tów albo całych bloków, w stosunku do zdefiniowanego układu odniesienia. Dzięki temu można obserwować i badać deformacje całego globu ziemskiego, jak też jego części, aż do niewielkich regionów aktywnych geodynamicznie, jak np. rejon Morza Śródziemnego czy rejon Półwyspu Arabskiego. Tą drogą uzyskano empiryczne potwierdzenie hipotezy dotyczącej tektoniki płyt. Przewidywała ona, jak wiadomo, przemieszczanie się kontynentów. Obecnie ruchy kontynentów potrafimy mierzyć z bardzo wysoką precyzją. Wiemy już np., że kontynent amerykański oddala się od Europy z prędkością ok. 20 mm w ciągu roku.



- Badania jonosfery i troposfery – własności dyspersyjne jonosfery i dwuczęstotliwościowe pomiary GNSS pozwalają wyznaczać zmiany zawartości elektronów swobodnych w jonosferze na drodze propagacji sygnału. Na tej podstawie określa się refrakcję w jonosferze. Badania te mają

szczególne znaczenie w okolicach maksimów aktywności słonecznej, które są przyczyną zakłóceń i burz w jonosferze, które możemy obserwować jako zorze polarne. Najbliższe maksimum aktywności słonecznej przewidywane jest na przełomie 2012 i 2013 roku.



Nawigacyjne systemy satelitarne – perspektywy

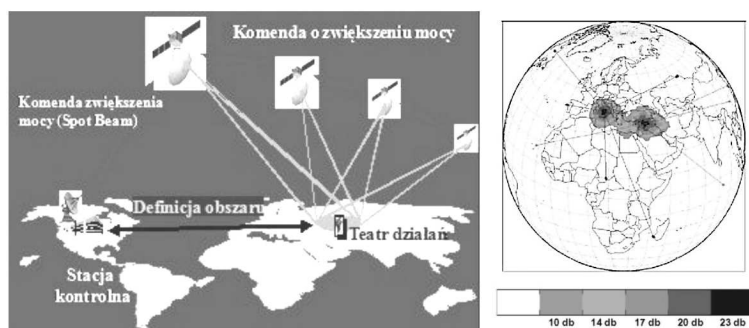
Plan modernizacji systemu GPS



Zmiany i rozbudowa systemu GPS obejmują nie tylko sferę zastosowań cywilnych, dotyczy to również sygnałów wojskowych. Ze względów technologicznych, w szczególności na tzw. czas operacyjny działania poszczególnych satelitów, konstelacja satelitarna podlega ciągłej modernizacji. Satelity obecnie umieszczane na orbitach (slotach) należą do generacji (bloku) określanego jako IIR-M. Blok ten oprócz pełnej kompatybilności z poprzednimi wersjami satelitów charakteryzuje się dodatkowymi funkcjami. Satelity IIR-M emitują nowy kod określany jako L2C, który jest udostępniony zarówno dla celów militarnych, jak i cywilnych. Dodatkowo satelity tego bloku posiadają możliwość

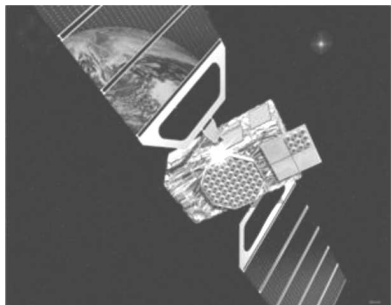
transmisji nowego przeznaczonego jedynie dla wojska kodu M (kod M jest obecnie w fazie testów). Zasady korzystania z tego kodu M będą analogiczne, tak jak obecnie, z sygnałem P(Y), co oznacza konieczność wykorzystywania modułów kryptograficznych dystrybuowanych jedynie przez właściciela systemu (rząd USA). Wprowadzona została jednocześnie nowa technika implementacji kluczy zabezpieczających zwana OTAR.

Pełne rozwinięcie dodatkowych funkcji pojawia się wraz z wprowadzeniem nowego bloku satelitów, tzw. bloku II-F. Satelity te, zgodnie z harmonogramem umieszczane na orbitach od lutego 2009 r., są wyposażone w możliwość zwiększania mocy nadawanego sygnału, co ma bardzo duże znaczenie w zapobieganiu celowym zakłóceniom systemu. Blok II-F wprowadzi jednocześnie nową częstotliwość L5, co rozszerzy możliwość wykorzystania GPS do nawigacji nawet w obszarach o gęstej zabudowie i terenach zalesionych. Powyższe zmiany są już w trakcie realizacji, a ich udostępnienie operacyjne będzie realizowane sukcesywnie po właściwych testach.



Zmiany w systemie GPS nie zamykają się na bloku II-F. Dalsza perspektywa rozwoju systemu to satelity bloku GPS III. Blok ten wprowadzi nową funkcję zsynchronizowanego zwiększania mocy sygnału GPS w określonych rejonach świata, w szczególności rejonach zainteresowania operacyjnego. Funkcja ta ma zapobiegać zakłóceniom w odbiorze danych oraz zapewnić ciągłość sygnału tam, gdzie jest to bardzo ważne. GPS III jednocześnie dzięki planowanemu zwiększeniu dokładności zegarów atomowych umieszczanych na satelitach zwiększy nominalną dokładność określenia współrzędnych. Szacuje się, że osiągnie ona wartość ok. 1 m przy wykorzystaniu modułów wojskowych. Dla porównania, obecna dokładność systemu pozwala na określenie współrzędnej z dokładnością ok. 10 m.

Budowa systemu GALILEO



Globalny system nawigacji satelitarnej Galileo będzie zaspokajał potrzeby użytkowników na całym świecie w zakresie radionawigacji, lokalizacji i synchronizacji. Galileo, kompatybilny z obecnie już istniejącymi systemami GPS i GLO-NASS, będzie charakteryzował się lepszymi parametrami pracy (dokładność, dostępność, ciągłość). Będzie również dostarczał informacji na temat wiarygodno-

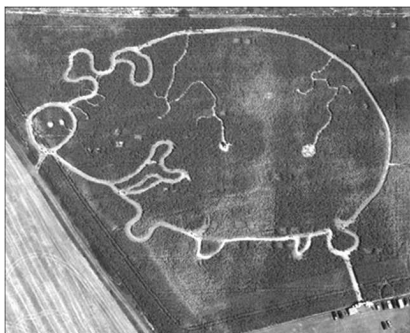
ści przesyłanych danych, dzięki czemu zaoferuje nowe możliwości zastosowań, zwiększając potencjał sektora nawigacji satelitarnej oraz stymulując rozwój nowych technologii. System Galileo będzie pierwszym całkowicie cywilnym systemem nawigacji satelitarnej, będzie składał się z 30 satelitów rozmieszczonych na 3 płaszczyznach orbitalnych o wysokości 23 616 km każda. Obieg satelitów systemu GALILEO wokół Ziemi wynosi 14 h 21,6 min. Planowane operacyjne uruchomienie systemu ok. 2015 roku.

COMPAS – chiński GPS

Chińczycy planują w ciągu najbliższych lat wystrzelić 35 satelitów mających stanowić konkurencję dla systemu GPS: pięć znajdzie się na orbicie geostacjonarnej, trzydzieści będzie krążyło bez synchronizacji z ruchem Ziemi. Chiński układ nawigacji satelitarnej będzie jednak obejmował swym zasięgiem tylko region Chin i państw sąsiadujących – z czasem planowane jest powiększenie obsługiwanego obszaru na całą Azję oraz resztę świata. System ma się nazywać COMPAS („Beidou”). Odbiorcom komercyjnym zapewni badanie położenia z dokładnością do 10 metrów oraz szybkości z precyzją do 0,2 metra na sekundę.

Zamiast zakończenia – GPS na wesoło

Na dzisiejszym wykładzie omówione zostały i przybliżone problemy dotyczące systemów nawigacyjnych GNSS. Omówione zostały różne zastosowania i aplikacje, zarówno gospodarcze jak również naukowe. Wykazano, jak wielkie znaczenie w naszym życiu ma system GPS, a w niedalekiej przyszłości GLO-NAS i GALILEO. Ale czy są to już wszystkie możliwości ich zastosowania? Na pewno nie. W najbliższym czasie pojawią się nowe. Przytoczyć mogę jeszcze jedno nietypowe zastosowanie w rozrywce.



Jeden z niemieckich rolników kilka lat temu na polu kukurydzy o powierzchni 3,7 hektara narysował ogromną świnkę, którą bez trudu można było sfotografować z orbity okołoziemskiej.

Bibliografia

1. LAMPARSKI J., 2001, *Navstar GPS. Od teorii do praktyki*, Wydawnictwo UWM, Olsztyn
2. LAMPARSKI J., ŚWIĄTEK K., 2007, *GPS w praktyce geodezyjnej*, Wydawnictwo GALL
3. SPECHT C.M., 2007, *System GPS*, Wydawnictwo Bernardinum
4. ŚLEDZIŃSKI J., 2005, *Alfabet GPS*, seria artykułów w dodatku NAWI do magazynu Geodeta (01.2005-01.2006), Warszawa,
http://www.geoforum.pl/pages/index.php?page=nawi&id_catalog_text=719

Spis treści

Słowo wstępne	
<i>Tomasz Borecki</i>	3
Przedmowa	
<i>Włodzimierz Kurnik</i>	5
Pożytki z teorii ewolucji	
<i>Jerzy Dzik</i>	7
Światowy kryzys finansowy – przyczyny i skutki	
<i>Leszek Balcerowicz</i>	13
O historii sądownictwa w Polsce Ludowej	
<i>Adam Strzembosz</i>	23
Medycyna i prawo. O pewnych etyczno-prawnych dylematach związanych z zaniechaniem świadczeń medycznych	
<i>Andrzej Zoll</i>	29
Jak można wygrać wojnę w Afganistanie?	
<i>Adam Kobieracki</i>	39
Egzaminowanie – teoria i praktyka	
<i>Krzysztof Konarzewski</i>	47
Spór o dobro i piękno sportu	
<i>Józef Lipiec</i>	53

Kapłan – świadek mocy na czasy zamętu

Ks. Krzysztof Pawlina **65**

Kiedy nasze czyny mają wartość moralną?

Konrad Waloszczyk **73**

Dlaczego uczymy się się śpiewać...

Eugeniusz Knapik **81**

**Znaczenie i zastosowanie nawigacyjnych systemów
satelitarnych w nauce, gospodarce i technice
wojskowej XXI wieku**

Mariusz Figurski **91**

Zeszyty opublikowane przez Instytut

Rok 1997

- I – Ochrona własności intelektualnej
- II – Etyka zawodowa
- III – Jakość kształcenia w szkołach wyższych
- IV – Akademicka Komisja Akredytacyjna. System oceny jakości kształcenia i akredytacji w szkolnictwie wyższym

Rok 1998

- V – Instrumenty rozwoju systemu kształcenia w Polsce
- VI – Bezpieczeństwo człowieka we współczesnym świecie
- VII – Misja uczelni
- VIII – Polska a integracja europejska w edukacji. Aspekty informatyczne

Rok 1999

- IX – Bezpieczeństwo człowieka we współczesnym świecie
- X – Problemy etyczne techniki
- XI – Koszty kształcenia w szkołach wyższych w Polsce. Model kalkulacyjnych kosztów kształcenia
- XII – Władza i obywatel w społeczeństwie informacyjnym

Rok 2000

- XIII – Kształcenie międzyuczelniane. Studium warszawskie
- XIV – Produkcja, konsumpcja i technika a ocieplenie klimatu
- XV – Czy kryzys demograficzny w Polsce?
- XVI – Ekonomiczne i społeczne efekty edukacji

Rok 2001

- XVII – Ekonomiczne i społeczne efekty edukacji
- XVIII – Wolność a bezpieczeństwo
- XIX – Ekonomiczne efekty edukacji w Polsce

Rok 2002

- XX – Pamięć i działanie
- XXI – Bezpieczeństwo człowieka we współczesnym świecie
- XXII – Problemy etyczne w nauce
- XXIII – Autorytet uczelni
- XXIV – Jakość kształcenia i akredytacja w szkolnictwie wyższym w Polsce

Rok 2003

- XXV – Zarządzanie bezpieczeństwem w sytuacjach kryzysowych
- XXVI – Kierunki kształcenia i standardy nauczania w polskim szkolnictwie wyższym

Rok 2004

- XXVII – Internet i techniki multimedialne w edukacji
- XXVIII – Uczelnie a innowacyjność gospodarki
- XXIX – Decyzje edukacyjne

Rok 2005

- XXX – Emigracja – zagrożenie czy szansa?
- XXXI – Zagadnienia bezpieczeństwa energetycznego
- XXXII – Polskie uczelnie XXI wieku
- XXXIII – Zagadnienia bezpieczeństwa wodnego

Rok 2006

- XXXIV – Humanizm i technika
- XXXV – Rola symboli
- XXXVI – Wizja polskich uczelni w społeczeństwie globalnym

Rok 2007

- XXXVII – Uczyć myśleć
- XXXVIII – Obraz postępu i zagrożeń cywilizacyjnych w mediach
- XXXIX – Czasopisma naukowe – zmierzch czy transformacja?

Rok 2008

- XL – Warszawa Akademicka – Seminarium
- XLI – Warszawa Akademicka
- XLII – Polscy uczniowie w świetle badań PISA
- XLIII – Prywatność – prawo czy produkt?

Rok 2009

XLIV – Woda w obszarach nieurbanizowanych

XLV – Społeczeństwo polskie wobec narodzin III Rzeczypospolitej (1988-1990)

Rok 2010

XLVI – Wykłady inaugurujące rok akademicki 2009/2010

